

magazyn

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 111 (8795)

Białystok — Łomża — Suwałki, 19—20 maja 1979 r.

Nakład: 181.883

Cena 1 zł

Zakończenie wizyty Edwarda Gierka w NRD

BERLIN (PAP) — I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierk i sekretarz generalny Komitetu Centralnego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, przewodniczący Rady Państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Erich Honecker zakończyli w piątek rozmowy, w których uczestniczyli także inne osobistości obu partii i państw.

Obrady, które rozpoczęły się poprzedniego dnia i przebiega-

ły w braterskiej i serdecznej atmosferze, potwierdziły pełną jedność we wszystkich omawianych sprawach.

Wyniki spotkania czołowych przedstawicieli partii i rządów Polski i NRD znalazły odzwierciedlenie we wspólnym komunikacie.

Po zakończeniu obrad polski przywódca i towarzyszące mu osoby powrócili do kraju.

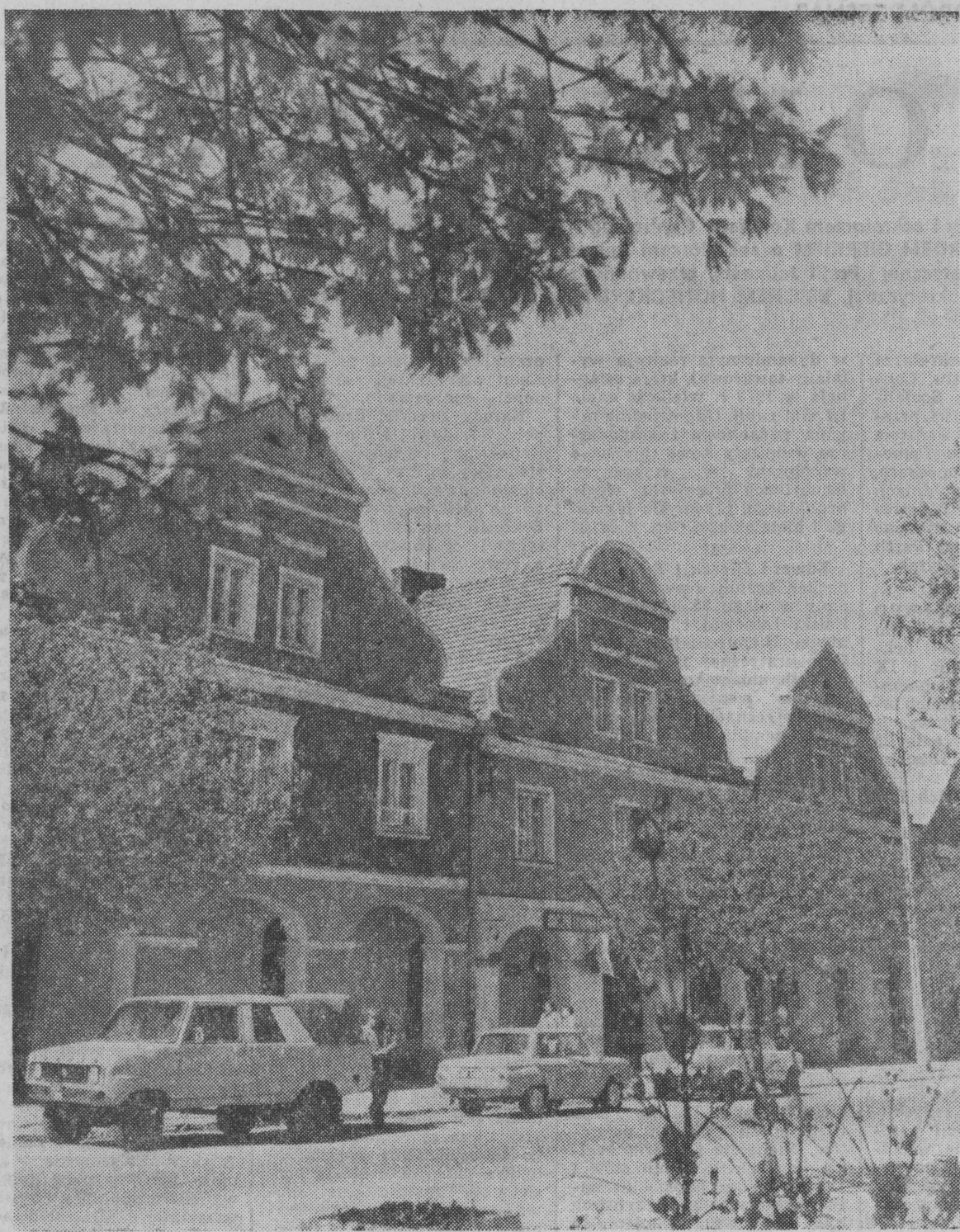
I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka oraz członków Biura Politycznego KC PZPR, Edwarda Babiucha i

Jana Szydłaka, na lotnisku Berlin-Schoenefeld serdecznie zegnali sekretarz generalny KC NSPJ, przewodniczący Rady Państwa NRD Erich Honecker, członek Biura Politycznego KC NSPJ, przewodniczący Rady Ministrów NRD, Willi Stoph, sekretarz KC NSPJ, Guenter Mittag, a także zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC NSPJ, Werner Jarowinsky oraz inne osobistości. Obecny był ambasador PRL w NRD Jerzy Gawrysiak.

Nowe statki z gdyńskiej „Komuny”

GDĄSK (PAP) — 18 bm. ze Stoczni im. Komuny Pańskiej w Gdyni wypłynął w próby morskie 16-tysięcznik „Profesor Mierzejewski” budowany dla PLO.

W drugim suchym doku gdyńskiej „Komuny” położona została stępka pod budowę drugiego statku z serii promów o nośności 17,5 tys. ton. Stępka położona została równolegle do budującego już z tej samej serii. Dzięki takiemu zagospodarowaniu przestrzeni doku, ten kosztowny obiekt produkcyjny zostanie w optymalny sposób wykorzystany. Pierwszy promowiec zostanie przekazany armatorowi jeszcze w tym roku, zaś druga jednostka będzie w br. zwodowana.



Łomżyńska Starówka

Fot. Gabor Lorinczy

Jakie narzędzia miał Piotr Bejtman w czterdziestym dziewiątym roku, kiedy przychodził na budowę? Miał kielnię, paczkę do nakładania tynku i zacieraczkę do wygładzania otynkowanych ścian. I miał jeszcze młotek, do wyrównania cegieł, bo wtedy cegły pochodziły z rozbiórki i z trzech kawałków musiała wyjść jedna cegła.

sia, kiedy idzie tymi ulicami to może powiedzieć — ten dom stawiałem, i ten, i tamten. Ale nie ma komu słuchać, bo każdy kolega murarz robił to samo przez lata całe. Przychodzili zawsze na pusty plac wyznaczony palikami i zabierali się do roboty. Żadna budowa nie miała dla niego tajemnic.

— Nawet co jest dziwne — mówi — jak spojrzę na rysunek domu, to już w wyobraźni widzę go gotowym. Więcej jeszcze, bo cza-

Ludzie z rusztowań

Te narzędzia zawsze przynosił ze sobą na budowę, zawinięte w papier, albo szmatkę. Teraz Bejtman na budowę idzie z teczka, jak urzędnik, jakiegoś, co prawda teczka jest z dermy, a nie skórzana, ale czy to ma znaczenie? W teczce nosi drugie śniadanie, a kielnia i paczka na nic się już nie przydadzą na wielkich budowach, chyba wtedy, gdy trzeba usunąć jakieś drobne usterki, w gotowych już domach. Bejtman te usterki usuwa w mieszkaniach, gdzie stoją już meble, przeważnie nowe, leżą dywany, więc musi uważać i robić to tak delikatnie, żeby czego nie uszkodzić czy nie zabrudzić. Bo ludzie i tak są źli za te usterki. To się da wyczuć od razu, od progu. Mówi taki jeden lokator do Bejtmana — tylko zrób to pan porządnie, bo ja, widzisz pan, jestem magister i mieszkanie muszę mieć na glanc. A Bejtman do niego — pan jesteś magister po swoim fachu, a ja murarz i tynkarz już od trzydziestu lat i ze swoim fachem też obeznany.

Bejtman pracuje teraz na wykończeniówce. A kiedyś stawiał domy z cegły i to było jego umiłowanie. Białostockie osiedle ZOR, szkoły, magazyny, wiele domów na różnych ulicach i w różnych dzielnicach. Nawet dzi-

sami zdaje mi się, że już nawet kwiaty w oknach widzę i elewacje.

Co do elewacji, to może szczerze powiedzieć, że mu nie przypadają do gustu.

Markotnie wyglądają. A jak jeszcze farby się zluszcza, to już całkiem dom wygląda tak jak drzewo obrane z kory — stwierdza Bejtman i zaraz podaje przykład osiedli mieszkaniowych przy Hucie Katowice, gdzie pracował trzy miesiące.

— O tam to elewacje kolorowe, nawet każdy balkon jest inny, i domy różnią się od siebie, choć z wielkiej płyty budowane.

Albo na przykład taka zielen w osiedlach. Uważa, że tej zieleni musi być dużo. Jeśli trafi się plac budowy w jakimś sadzie, to budowlani starają się wyciąć jak najmniej drzew, tylko te niezbędne. Pozostałe drzewa osłaniają troskliwie szalunkami, żeby je dźwig nie uszkodził, czy jakiś samochód nie zlamiał.

— Ludzie się do domu wprowadzają i już im w okna drzewa zaglądają — dodaje — na osiedlach musi być pięknie.

I właśnie te słowa potwierdzają umiłowanie zawodu, którego, zdaniem Bejtmana, nie

Ciąg dalszy na str. 2



Święto narodowe Kamerunu

● WARSZAWA — Z okazji święta narodowego Zjednoczonej Republiki Kamerunu, przy padającego w dniu 20 bm., przewodniczący Rady Państwa HENRYK JABŁONSKI wysłał depeszę gratulacyjną do prezydenta Republiki AH-MADOU AHIDJO.

Rozmowy Breżniew — Tito

● MOSKWA — W piątek kontynuowane były na Kremlu rozmowy Leonida Breżniewa z prezydentem SFRJ, Josipem Broz Tito, który przebywa w Związku Radzieckim z przyjacielską wizytą.

Wizyta prezydenta Francji w Rwandzie

● PARYŻ — W Kigali toczą się rozmowy prezydenta Rwandy, Juvenala Habyalimana, z przybyłym do tego kraju z wizytą oficjalną prezydentem Francji, Valérym Giscard d'Estaing. Weźmie on udział w rozpoczynającej się w stolicy Rwandy francusko-afrykańskiej konferencji szefów państw i rządów francuskojęzycznych krajów Afryki.

Ciąg dalszy na str. 3

JUŻ TRZECIE POKOLENIE

Czas robi swoje. Kto wtedy był pierwszy, nikt dziś już nie pamięta. Może Surowski i Zawadzki, Krzemiński i Dowleńczyk, Dołgan i Sasim? A może emeryt Józef Podlaski, który przez 30 lat nie opuścił ani jednego dnia roboczego? Brygadziści Trzebieńscy wpatrują się w wyblakłą fotografię, podpisaną „Porządkowanie z gruzów zakładów. Rok 1947”. Jakby znajome twarze — mówi — ale, niestety, nie przypominam sobie nazwisk tych młodych ludzi.

A przecież był wśród nich, taki sam jak oni, pełen młodzieńczego zapału, ambicji tworzenia życia na ruinach spalonych zakładów i miasteczka. Chociaż nikt im niczego nie obiecywał. Wiedzieli, że czego sami nie robią, tego nikt im nie da. I dlatego szczególnie cieszyli się, byli dumni z siebie jak coś dobre wyszło.

Pamiętam — wspomina towarzysz Mieczysław Olszewski — jak zleciała się cała załoga, gdy tuszczarz Grymuza zaczął tuszczyć pierwszy klocek drewna. Cóż to było za przeżycie!

Brygadziści Tadeusz Trzebieński popada w zadumę, jak gdyby ponownie przeżywał wydarzenia tamtych znojących lat. — Byłem na uroczystości otwarcia fa-

bryki. To było w lecie czterdziestego ósmego. Lecz czekała nas jeszcze długa i ciężka harówka. Dzisiaj nie tylko młodym, ale i nam, aż wierzyć się nie chce, że w prymitywnych warunkach, niemal gołymi rękami można było tak wiele zdziałać.

TAK SIĘ ZACZEŁO

Z ZAKŁADOWEJ KRONIKI: „Miasto i zakłady leżały w gruzach. Z gruzów widać wybrano materiały do odbudowy domów i hal fabrycznych. Również maszyny, nawet spalone, wybierano z gruzów zakładów na terenie województwa. Czyszczone je i remontowano we własnym zakresie...” Mieczysław Olszewski przyjechał do Płocka, w 1947

roku. Został jak wielu innych. — Pamiętam pierwszą pracę. Było to wytoczenie koła klinowe z bardzo twardego żeliwa. Ale na czym? Na małej, o starej konstrukcji, ponadto bez noży, tokarce. Jednak wykonaniem zadania.

W kilka miesięcy później do grupy odbudowujących „sklejke” dołączył ślusarz — racjonalizator, obecny przewodniczący Rady Zakładowej — Henryk Borawski. — Było ciężko, nawet bardzo ciężko. Po pracy wracaliśmy do wynajętego na strychu pokójku. Często trudno było zasnąć. Z niewygody i rozmyślań. Aż zmęczenie brało górę. Bo pracowaliśmy po 12 i więcej godzin. Sami, własnym sposobem wykonywaliśmy nożyce, spajar-

ki, piły manipulacyjne, wyciągarki, podnośniki oraz inne maszyny i urządzenia. DZIAŁAJ, kiedy szron pozbilił włosy i ubiło sił, wydaje się, że to wszystko co wtedy robione było ponad możliwości ludzkie. — A jednak... nas to naprawdę pasjonowało — stwierdza Borawski.

A ryzyko porażki, lub — co gorsze, niebezpieczeństwa? — To prawda, mogło różnie być, przecież robiliśmy bez dokumentacji, w oparciu o własne pomysły i rysunki.

Wspomina szef produkcji — Kazimierz Kalinowski: — W celu zwiększenia luszczki suchej skonstruowaliśmy suszarnie rusztowe ze starych rur kotłowych, splaszczonych w prasie. Pierwszego dnia, gdy przechodziłem koło suszarni nastąpiło pęknięcie rury. W jednej chwili, w tłumach parę zginęła mi z oczu kobieta obsługująca suszarnię, a potem ujrzałem na podłodze czerwoną plamę. Była to wypływająca rdza. Kobiecie, na szczęście nic się nie stało.

Były to pionierskie lata. Jak hartowały się postawy ludzkie opowiada też małżonkowie Kazimiera i Stefan Lipińscy.

Przyjechali do Płocka z łomżyńskiej wsi. Najpierw on, a kiedy jako tako zadowolony, dojechała ona. Lecz zanim znaleźli mieszkanie i pobrali się, dojeżdżali do pracy przez pięć lat.

PORÓWNUJĄ. — Teraz są korowarki mechaniczne, podnośniki, wózki, a wtedy każda czynność wyko-

nywało się ręcznie, z dużym wysiłkiem, aż plecy bolały, a na rękach powstawały odciski. Ręcznie pilowało się kłocę i ręcznie zakładało się je do obróbki. A były długie na 2,5 metra i szerokie do 60—70 centymetrów.

— Ciężka też była praca przy kielieniu mokrym sklejki. Nie było suszarni, materiał siedział wprost do pras. W ogóle, brakowało nawet włader do kleju. I ten uciążliwy transport. Wózki — taczki stale zarywały się w przegubach drewnianych podłóg.

Snują się wspomnienia z niesłabnącą siłą. Historia zakładów nie uważają się za bohaterów, chociaż to — co wtedy zrobili — można uznać za bohaterstwo pracy. Przechodzili różne, dobre i nie dobre lata. A jednak — stwierdzają zgodnie — byli to piękne, młodzińcze lata, z których to — dodajmy — pozostały ślady twórczej roboty. Obrazują je pamiątkowe zdjęcia: „Przy pierwszej tokarni”, „Na budowie silowni”, „Pierwsza luszczarka”, „Montaż pierwszej spawarki”.

I zapis w zakładowej kronice: „Rok 1949 zakończył pierwszy etap odbudowy zakładu, w którym kolejno uruchomiono produkcję oblogów, tarcey, sklejki sucholejonej oraz przygotowanie produkcji płyt stolarskich. W okresie tym odbudowano też kilka spalonych budynków mieszkalnych, otwarto przedszkole i żłobek”.

CENA DOBREGO IMIENIA

Mineły najtrudniejsze lata, pełne fizycznych i psychicznych napięć. W odbudowanych zakładach pracowało wprawdzie skromna jeszcze liczebnie załoga, ale szrana, przyzwyczajona do czynów zbiorowych, bez

których nie byłoby przetrwałych i przyszłych sukcesów. Do dzisiaj wspominają zawalenie się dachu nad halą główną. — Była to ogromna praca — mówią Lipińscy. — Wzięła w niej

udział cała załoga. Jednocześnie naprawiano maszyny i przestawiano je na nowe stanowiska. Pod gołym niebem, ale produkcja szła.

Przybywali nowi ludzie, a

wśród nich 18-letni wówczas Mieczysław Skoczeń: — Jak trzeba było, to pracowaliśmy przez prawie całą dobę. I raj potrzebował na-

Ciąg dalszy na str. 3



Wydział płyt komórkowych dla potrzeb przemysłu meblarskiego. 40-osobowym zespołem kieruje tu brygadziści Mieczysław Skoczeń.

KOMUNIKAT

ze spotkania między I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej EDWARD GIERKIEM a sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, przewodniczącym Rady Państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ERICHEM HONECKEREM, w dniach 17 i 18 maja 1979 r. w NRD.

Na zaproszenie sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, przewodniczącego Rady Państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej Ericha Honeckera, przebywał w NRD w dniach 17 i 18 maja 1979 r. I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek.

Przedstawiciele PRL i NRD poinformowali się nawzajem o postępach w realizacji uchwały VII Zjazdu PZPR i IX Zjazdu NSPD. Doniosło znaczenie mający czyny wszystkich ludzi pracy obydwu krajów, podejmowanie do uczczenia 35 rocznicy PRL i 30 rocznicy NRD.

Edward Gierek i Erich Honecker wysoko ocenili owocne pogłębianie i rozszerzanie współpracy obydwu partii i państw, jak również przyjacielskich stosunków obydwu narodów w oparciu o układ o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy z 28 maja 1977 r. Siłę motoryczną, która nadaje kierunek i inspiruje rozwój całych stosunków bilateralnych stanowią ideowa jedność i współdziałanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności.

Obydwe strony przedyskutowały stan realizacji porozumień w dziedzinie współpracy ekonomicznej i naukowo-technicznej, zawartych przez delegacje partynon-trych obydwu krajów w latach 1977 i 1978. Stwierdzono, że stosunki gospodarcze obydwu krajów rozszerzają się zgodnie z kompleksowym programem RWPG. Wyraża się to

Dziennikarze pism centralnych na Białostocczyźnie

Na piątek i sobotę przybyła na Białostocczyznę kilkunastu-osobowa grupa dziennikarzy pism centralnych. W piątek spotkali się oni z kierownictwem województwa i administracji wojewódzkiej, na czele z I sekretarzem KW PZPR — Władysławem Juszkiewiczem i wojewodą — Zygmuntem Sprychą. Dziennikarze zapoznani zostali z problemami społeczno-gospodarczego rozwoju Białostocczyzny, następnie zwiedzili Białystok. Po południu, w grupach według zainteresowań, udali się do zakładów przemysłowych, placówek naukowych, kulturalnych itp.

Wiosna-79

Przyspieszony rytm prac polowych

Upalna pogoda oraz znaczne wiatry zasoby wód gruntowych sprzyjają dobrej wegetacji roślin, wpływają też na przyspieszenie prac w polu. Rolnicy trzech województw uporali się z siewami zbóż. W Łomżyńskim przykładowo, zasiano nieco więcej owsa, jęczmienia i pszenicy aniżeli przewidywano plany.

Lada dzień zakończy się sadzenie kartofli. W Suwalskim i Białostockim nie było większych kłopotów z sadzeniem ziemniaków, w Łomżyńskim też z brakami się uporało. Pozostałe do obsadzenia planowane do gleby podmokłe, niższe pola.

Duży postęp zanotowano w tym roku w uprawie kukurydzy, najbardziej wydajnej — w naszych warunkach — rośliny paszowej. W Suwalskim w gospodarce całkowitej obsadziła się aż 18-19 tys. ha, ale — przypomnijmy — jeszcze dwa lata temu kukurydza rosła tu na 700 ha. Na Białostocczyźnie kukurydzy też więcej zasiano.

Obserwuje się też większe — niż w latach ubiegłych — zainteresowanie uprawą buraka cukrowego. Rolnicy woj. łomżyńskiego, mając do dyspo-

zyjcy dodatkowe obszary gruntów po rzepaku i żywie (które w części wypadły po zimie z uprawy), obsłali 80 proc. zaplanowanej powierzchni. Najpilniejszym obecnie zadaniem jest dobre przygotowanie roli i jednostek obsługi rolnictwa do sianokosów. Zbiór traw rozpocznie się w tym roku później, bo w końcu maja. Tym, którzy pierwszy pokos zbiora w optymalnym terminie, najpóźniej do 15 czerwca, przyniesie zysk. Warunek — trawy trzeba będzie przetranszować na kisonki bądź sianokosy. Leży to w interesie samych rolników; więcej pasz kosztujących, to lepsze efekty produkcyjne w okresie jesienno-zimowym.

Kółka rolnicze są na ogół dobrze przygotowane do świadczenia usług. Na pierwszy ogień — jeszcze przed sianokosami — pójdzie chemiczna walka z chwastami. Chwastów na polach w tym roku jest wyjątkowo dużo, więc skuteczne ich wyplenienie nie może przyczynić się do istotnego wzrostu plonów zbóż, buraków i innych roślin pastewnych.

(haka)

Przepisy celno-dewizowe w Rumunii

WARSZAWA (PAP) — Wyjeżdżającym do Rumunii przypominamy podstawowe przepisy celno-dewizowe tego kraju.

Do Rumunii można przywozić bez cła przedmioty osobistego użytku. Bez cła dozwolony jest także przywóz środków spożywczych w ilościach niezbędnych w czasie podróży, napoi alkoholowych — do 5 litrów wina i 2 litrów innych napojów, wyrobów tytoniowych do 300 papierosów i 300 gramów tytoniu. Ogólna wartość środków spożywczych, napoi alkoholowych i wyrobów tytoniowych nie może przekraczać 500 lei. Wolne są od cła również upominki o łącznej wartości do 2 tys. lei. Zakazany jest nato-

miem na ziemi polskiej i niemieckiej, na kontynencie europejskim.

Narody Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej stworzyły między sobą jakościowo nowe stosunki. Stwierdzono to dobitnie potwierdzeniem dokonanej rewolucji socjalistycznej w obydwu krajach, a równocześnie jest żywym wyrazem procesu zbliżenia między państwami i narodami wspólnoty państw socjalistycznych. Naród polski i naród Niemieckiej Republiki Demokratycznej może zawsze polegać na międzynarodowej pomocy i wszechstronnym poparcu ZSRR.

I sekretarz KC PZPR i sekretarz generalny KC NSPD, przewodniczący Rady Państwa NRD, omawiając aktualne problemy międzynarodowe, podkreślił, że rozwój sytuacji międzynarodowej potwierdza ocenę dokonaną przez moskiewskie posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw Stron Układu Warszawskiego. Polska Rzeczypospolita Ludowa i Niemiecka Republika Demokratyczna wspólnie ze Związkiem Radzieckim i innymi braćmi krajami socjalistycznymi są zdecydowane nadal konsekwentnie dążyć do realizacji deklaracji moskiewskiej. Za zasadniczą przesłankę trwałego zabezpieczenia pokoju, obydwa państwa uważają bezwzględne zastosowanie skutecznego środka ograniczenia i wstrzymania wysiłku zbrojeń, stopniową redukcję arsenałów — zbrojeniowych, przede wszystkim broni jądrowej aż do ich ostatecznej likwidacji. Pomysłowe zakończenie rokowań między ZSRR i USA w sprawie ograniczenia ofensywnych zbrojeń strategicznych i rychłe wejście w życie układu między obydwoma krajami, Edward Gierek i Erich Honecker ocenili jako niezwykle ważne dla kontynuacji odprężenia w całokształcie stosunków międzynarodowych, w tym w Europie.

PRL i NRD wyrażają zdecydowany sprzeciw wobec planów NATO wprowadzenia do Europy nowych broni masowej zagłady. Wyrażono gotowość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej do rozważenia w duchu konstruktynym przedsięwzięć, które pogłębiałyby zaufanie między państwami i zmniejszały militarną konfrontację w Europie. Dlatego też Polska Rzeczypospolita Ludowa i Niemiecka Republika Demokratyczna z całym zdecydowaniem opowiadają się za przeprowadzeniem w najbliższym czasie na płaszczyźnie politycznej ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie odprężenia militarnego.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Po wyjściu Jana Pawła II z kabiny helikoptera, którym przybył na uroczystość, kompania honorowa armii włoskiej prezentowała broń. Premier Giulio Andreotti w przemówieniu powitał w Warszawie delegację polską i wyraził nadzieję, że w szczególności znaczenie spójności, odbywającego się w 35 rocznicę historycznej biłty, która otworzyła wojskom alianckim drogę na Rzym.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Edward Gierek i Erich Honecker podkreśliли wagę ścisłego przestrzegania układu między państwami socjalistycznymi i Republiką Federalną Niemiec oraz czterostoronnego porozumienia w sprawie Berlina Zachodniego dla pokoju, zaufania, dobrego sąsiedztwa i korzystnej współpracy w Europie. Równocześnie wyrażono zaniepokojenie wzrostem aktywności neofaszystowskiej, tendencjami rewanżystycznymi i zamiarem przedawnienia zbrodni faszyzmu, jako sprzecznych z literą i duchem zawartych układów, z prawem międzynarodowym, z powszechnym poczuciem sprawiedliwości i dążeniami narodów do budowy pokoju na całym świecie.

Obydwe strony zdecydowanie potępiły zbrodnia agresji Chin przeciwko Socjalistycznej Republice Wietnamu. Agresja ta poniosła fiasko w wyniku światowej solidarności sił postępowych, skutecznego, wszechstronnego poparcia dla bohaterstwa narodu wietnamskiego, przede wszystkim ze strony ZSRR i innych krajów socjalistycznych. Polityka ekspansji poważnie zagrożąca pokojowi światowemu ponownie zdemaskowała przed całym światem przywódców chińskich i ich niebezpieczny kurs na realizację hegemonistycznych celów.

Polska Rzeczypospolita Ludowa i Niemiecka Republika Demokratyczna ponownie wyrażają pełne poparcie dla sprawiedliwego, całokształtowego i trwałego uregulowania na Bliskim Wschodzie, które może być osiągnięte tylko w wyniku wspólnych wysiłków wszystkich zainteresowanych stron i w szczególności musi zapewnić uczciwe rozwiązanie niezaprzeczalnych praw narodów palestyńskiego do samostanowienia i włączenia do utworzenia własnego państwa.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności będą kontynuować i pogłębiać swoją współpracę, wszechstronną i konsekwentną, w celu konsekwentnej realizacji procesu budowy rozwiniętych społeczeństw socjalistycznych w obydwu krajach.

Obydwe partie, wierne zasadom marksizmu-leninizmu i proletariackiego internationalizmu, będą również w przyszłości dążyć, zgodnie z dokonanymi konferencjami berlińskimi do wnieścia wkładu w umocnienie jednolitej i silnej polityki międzynarodowej ruchu komunistycznego. Będą popierać dążenie do wszechstronnego wzmocnienia antyimperialistycznej jedności działania w celu zagwarantowania niepodzielnego pokoju światowego, jako największego dobra całej ludzkości.

Spotkanie przebiegało w tradycyjnie braterskiej i serdecznej atmosferze i było nacechowane pełną zgodnością we wszystkich poruszanych problemach.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Obecna była delegacja polska z wiceministrem Obrony Narodowej gen. broni Józefem Urbanowiczem, członkiem Rady Naczelnej ZBoWiD, gen. broni Franciszkiem Skibińskim i licznymi uczestnikami biłty o Monte Cassino. Przybył ambasador PRL we Włoszech Stanisław Trepczyński wraz z członkami ambasady. W uroczystości uczestniczyli też liczni członkowie Episkopatu polskiego oraz bardzo wielu byłych polskich uczestników biłty, przybyłych z kilkunastu krajów świata.

Henryk Jabłoński przyjął delegację pożarnictwa

WARSZAWA (PAP) — 18 bm., w przedmiocie VI Krajowego Zjazdu Związku Ochotniczych Straży Pożarnych oraz zbliżającego się Dnia Strażaka i Dni Ochrony Przeciwpowodzi, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński przyjął w Belwedrze delegację polskiego pożarnictwa.

Prezes Zarządu Głównego OSP, wiceprezes Rolnictwa — Andrzej Kacała poinformował o przebiegu i efektach kampanii przed VI Zjazdem OSP. Potwierdziła ona wysoką ocenę cieszącą się powszechnym uznaniem zaangażowanej i ofiarnej społecznej służby blisko milionowej rzeszy członków Ochotniczych Straży Pożarnych. Wspólnie ze strażakami zawodowymi prowadzą one nie tylko działalność prewencyj-

na w zakresie bezpieczeństwa przeciwpożarowego, organizując akcje gasnicze i walcząc z kłeskami żywiołowymi, ale również, na co dzień, szeroko angażując się w pracę społeczną i wychowawczą w swoich środowiskach.

Zabierając głos na zakończenie spotkania Henryk Jabłoński podkreślił, że dyskusja przedzjazdowa tocząca się w całym pożarnictwie i informacje zgłoszone w toku dyskusji w pełni potwierdzają wielkie społeczne znaczenie pracy Ochotniczych Straży Pożarnych, godny wielkich tradycji dorobek tej autentycznie społecznej organizacji, która skupia ludzi różnych zawodów odpowiedzialnych za troskę o ochronę życia i mienia współrodaków, wspólną troską o dobro najczystszej sprawy.

Z prac Prezydium Rządu

WARSZAWA (PAP) — Jak informuje rzecznik prasowy rządu — 18 bm. Prezydium Rządu rozpatrzyło sprawy związane z realizacją uchwały XIV Plenum KC PZPR o dalszym zwiększeniu udziału społecznego przemysłu drobnego w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju.

Zobowiązano ministrów i wojewodów do dokonania przeglądu wolnych lub nie zagospodarowanych lokali i powierzchni produkcyjnych oraz maszyn i urządzeń, jak również do oceny wykorzystania lokalnych zasobów surowców i materiałów, a także surowców wtórnych — z myślą o użyciu tych rezerw do uruchomienia w przemyśle drobnym dodatkowej produkcji na rynek i usług dla ludności. Podkreślono, że rozszerzanie działalności produkcyjnej i usługowej należy zwrócić uwagę przede wszystkim na te wyro-

by i usługi, na które popyt jest szczególnie duży. Jednocześnie przewidziano środki na niezbędne przedsięwzięcia inwestycyjne związane z uruchomieniem dodatkowej produkcji rynkowej. W grę wchodzi przede wszystkim inwestycje modernizacyjne i o krótkim cyklu realizacji.

Zatwierdzono odpowiednie przepisy mające na celu stworzenie dogodnych warunków emerytom i rencistom do podjęcia w miejscu zamieszkania różnej działalności usługowej. Przyjęto zasadę, że działalność taka nie będzie powodować zawieszenia prawa do emerytury bądź renty, jeżeli nie dojdzie do przekroczenia obowiązującego w takich przypadkach górnej puli dodatkowych dochodów. Zobowiązano ministra Handlu Wewnętrznego i Usług do określenia rodzajów usług, które mogą być wykonywane przez emerytów i rencistów.



Spotkanie z prof. J. Szczepańskim

Od kilku miesięcy pod auspicjami Białostockiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej odbywają się spotkania z znanymi pisarzami, publicystami, uczniami, autorami książek wydawanych w nie- zwykłej popularnej serii „Biblioteka Myśli Współczesnej”. Ta nieodczeka inicjatywa umożliwiła czytelnikom trudnej przelektury, jaką są wspomniane pozycje, spotkanie z autorami, którzy są autorami w danej dziedzinie i to nie tylko w naszym kraju. Pomysł okazał się wyśmienity. Spora kawiarnia w budynku RSW „Prasa — Książka — Ruch” przy ul. Wesołowskiego zawsze pełna w szwach nie mieszcząc wszystkich chętnych, wysłuchania prelekcji i podyskutowania ze znanymi autorami.

Chiny jednostronnie przerywają negocjacje

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

Wczoraj w Sali Kameralnej Teatru im. A. Węgierki odbyło się kolejne spotkanie zorganizowane w ramach Wszechnicy Myśli Współczesnej, w którym wziął udział prof. dr Jan Szczepański, znany socjolog i działacz państwowy. Autor wielu książek mówił o socjologicznych aspektach spraw ludzkich. Wcześniej natomiast prof. J. Szczepański spotkał się z I sekretarzem KW PZPR w Białymstoku — Władysławem Juszkiewiczem. (gr)

SPORT SPORT SPORT



Brawurowy atak Krzysztofa Sujki na metę w Warszawie

Wczoraj powitaliśmy kolarza na mecie dwujęzycznego etapu XXXII Węskiego Pokoju w Warszawie. W loży honorowej między innymi miejsce zajął przewodniczący Rady Państwa — Henryk Jabłoński. Krzysztof Sujka potworzył ubiegłoroczny sukces i po raz drugi wywalczył w Warszawie zwycięstwo etapowe.

Wysięg o sekundy! Tak charakteryzuje tegoroczny Węski Pokój większe ekspertów śledzących zmagania 90 kolarzy. Do takich należał również i wczorajszy zwycięzca etap prowadzący z Opatowa do Warszawy. Od kilku lat nie było w Wyścigu Pokoju tak długiego etapu. Kolarze pokonali dystans 206 km a skąd trudności podnosiła jeszcze bardzo wysoka temperatura powietrza.

Walka rozstrzygnięta była na ulicy Myśliwieckiej przed samą metą. Brawurowo zaatakował tu przy spalającym słońcu wicemistrz świata Krzysztof Sujka, który przy ogromnych oklaskach minął linię mety.

Sukces naszego kolarza w Warszawie to nie tylko znakomita postawa K. Sujki, ale kolektywne współdziałanie wszystkich naszych reprezentantów.

Właśnie Jan Jankiewicz był jednym z tych, którzy przygotowywali dobrą pozycję do ataku Krzysztofa Sujki. Krzysztof Sujka zatakwował na około 500 m przed metą, jako pierwszy wyszedł na finiszową prostą i już do mety nie oddał prowadzenia. Drugim był Aleksander Awierin.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11.00, a zakończenie etapu przewidziane jest na godz. 12.30.

Start do kryterium nastąpił o godz. 11

c.d. ze str. 1

szych płyt i sklejek. Kiedy zaś zaistniała groźba zlikwidowania produkcji sklejek sucho klejonej z powodu jej niskiej jakości, zwołaliśmy zebranie, na którym przedstawiliśmy nasze racje pod adresem zjednoczenia. Dajcie maszynę, a my postaramy się o solidny wyrób. I tak się stało. Do dziś nasza sklepka ma najwyższą jakość w branży i najwyższe oceny na rynkach zagranicznych.

Dorośli, zakładali rodziny, układali plany według nowych potrzeb. Lipińscy, Skoczeń, Kaczmarczykowie, Borawscy, Trześniewscy, Krygierzy. Ale bywało — często, zamiast iść po zakończonym zmianie do domu, zostawali przy

swoich maszynach. Bo taka była konieczność, bez nakazów, lecz podyktowana wspólną odpowiedzialnością za... honor załogi.

Zakłady rozbudowują się i modernizują. Poprawiają się warunki pracy i odpoczynku. Rusza produkcja nowych, ważnych dla gospodarki wyrobów. Wynotowuję z kroniki: „Budowa osiedla domków jedno i dwurodzinnych, zorganizowanie zakładowej służby zdrowia, uruchomienie produkcji lignofoku i kształtek sklepowych, dalsza modernizacja wydziału sklejek, oddanie budynku socjalnego i ośrodka wypoczynkowego, budowa nowej kotłowni, uruchomienie produkcji płyt wiórowych o grubości 10 tys. metrów sześć. rocznie.

Do nowych wydziałów, na nową produkcję przechodzą najbardziej do-

świadzeni pracownicy, m. in. mistrz zaufania brygadysta Lipiński, jego żona Kazimiera odznaczona Krzyżem Zasługi. A w ślad za rodzicami idą do „sklejek” ich dzieci: Jerzy i Krzysztof, przygotowuje się Andrzej.

Dynastie robotnicze w Pi-

szu? Uśmiechają się: można to i tak nazwać. Bo obok brygadysty prasowego Trześniewskiego pracuje jego żona Apolonia, a w płytach komórkowych ich córka Janina. Bo pod kierunkiem brygadysty Mieczysława Skoczenia pracuje jego żona — Maria, syn Zbigniew, córka Danuta z mężem.

Pytam, czy sprawy produkcji zostawiane są również do domu, — podkreśla sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej — Mieczysław Skoczeń.

Z zakładowej kroniki: „Członkowie partii pracują we wszystkich działach, w większości na głównych stanowiskach, gdzie mają możliwość właściwego oddziaływania na przebieg realizacji planu, atmosferę pracy, stosunki między ludźmi. Wykazują wiele inicjatyw i troski o sprawy zakładu i ich pracowników, organizacja cieszy się uznaniem i zaufaniem naszej załogi”.

JEST MAJ 1979 ROKU

Sklepka suchotrwała, wodoodporna, teletechniczna, profilowana, płyty stolarskie, wiórowe i komórkowe, lignofol i elkon, szeroki asortyment wyrobów w dziesiątkach tysięcy metrów sześciennych dla przemysłu meblarskiego i stolarskiego, elektrycznego i rolniczego, na kraj i eksport dla ponad 100 odbiorców. A wszystko w najwyższych gatunkach więc i dyplomy uznania, proporce, nagrody

namacalny rozwój produkcji zakładów w Pisz.

W ostatnich latach oddano nowe obiekty, zakupiono i zainstalowano nowe maszyny i urządzenia, zmniejszono wielkość prac ciężkich i pracochłonnych. Stąd na każdym kroku padają stwierdzenia ludzi, którym niełatwo zapominać: ogromnie zmieniły się nasze zakłady, po prostu są nie te same niż przed laty. A przecież wiele tu jeszcze starych urządzeń, w związku z czym opracowuje się założenia dalszej rekonstrukcji. Na przykład trzeba rozbudować wydział lignofolu i elkonu, gdyż zamówienia są pięciokrotnie wyższe od obecnych możliwości wytwórczych.

— Byłoby jednak krzywdzące — zauważa dyrektor — Jan Muzyka — poprzestać na stwierdzeniu, że modernizacja zakładów odbywała się tylko poprzez zakupy inwestycyjne. Tak jak w pierwszych latach budowy, tak samo obecnie racjonalizatorzy nasi, jak szef produkcji Kazimierz Kalinowski,

za i miejsca w międzyzakładowym współzawodnictwie.

Sukcesy nie rodzą się z niczego. Długo na nie pracowali i dziś nie zmniejszają wysiłku o jakość, ilość, nowoczesność. Dowodem tego jest zajęcie i miejsca w krajowym przemyśle drzewnym.

Sięgam do danych obrazujących wzrost nakładów inwestycyjnych na rozbudowę i modernizację piśkiej skleki. 6, 13, 27, 81 milionów złotych. Dopiero w ubiegłej pięcioletniej przeszła one do 161, a w bieżącej do 250 milionów. Za takie sumy można już coś większego i konkretniejszego zrealizować.

Nie było więc nic z przesady w stwierdzeniu zawartym w referacie na 30-lecie zakładów, że dopiero „w wyniku uchwał VI i VII Zjazdu partii, które wyzwały potrzeby i możliwości narodu, nastąpił dy-

główny energetyk Marian Wolski, kierownik warsztatów mechanicznych Piotr Kukielko, ślusarz Wojciech Janowski, tokarz Mieczysław Olszewski i inni, wnoszą istotny wkład w rozwój i unowocześnienie produkcji oraz w poprawę warunków pracy załogi.

STARSA HISTORIA: „Waskim gardłem” była suzarna luszczki. Więc ruszono głową i zmontowano suszarnie rolkowe, a następnie taśmowa. Historia nowa: opracowano i wdrożono do produkcji tworzywo drzewne — elkon, o specjalnych właściwościach fizycznych, mechanicznych i elektrycznych, doskonale do budowy transformatorów. Za wynalazek ten 9-osobowy zespół otrzymał odznakę „Mistrza Techniki Polskiej”.

Można mnożyć przykłady rzetelnej zaangażowanej roboty załogi Piśkich Zakładów Przemysłu Sklejek. I można mnożyć nazwiska tych, którzy swą pracą w szczególny sposób zapisali się w historii zakładów oraz miasta.

Ogromna hala sklejek, a w niej dziesiątki kobiet. Wspominając okres budowy zakładów Kazimiera Lipińska podkreśla wysiłek własnej kobiety, które z

braku męczyzn musiały wykonywać nawet najcięższe prace. Wymienia się Natalię Koroniewicz, Lucynę Marchelską, Marię Sławę, Amelię Mlynarczyk, Teresę Smigielką, Hieronimę Wielek, Halinę Bazydę i inne.

Do hali tej, na swą eksportówkę, wraca brygadysta Tadeusz Trześniewski. Wraca do swych zajęć brygadysta Mieczysław Skoczeń. Trzeba przyspieszyć robotę, bo ślady zimy jeszcze zostały. Najwięcej jest do odrobienia w płytach komórkowych. Jednak Skoczeń jest dobrej myśli.

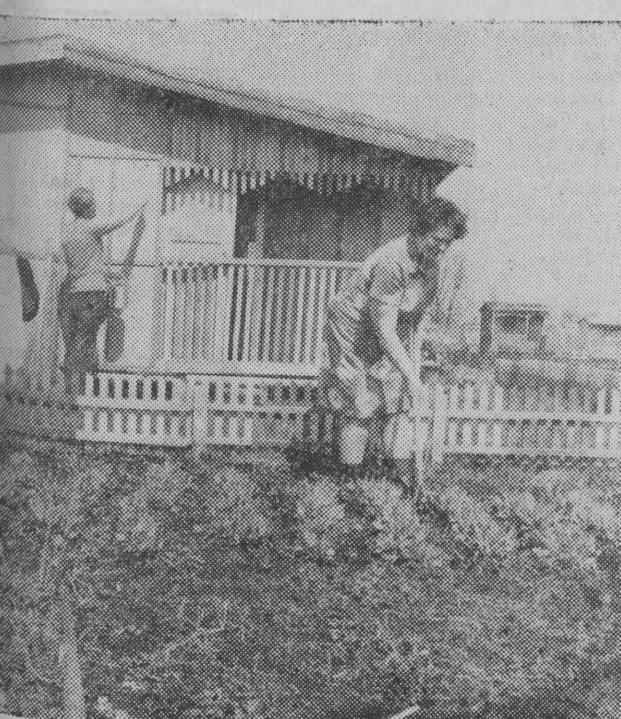
Jest maj, słoneczny i zielony, jak słoneczny i zielony jest położony na skraju pięknej puszczy 15-tysięczny Pisz. Małżonkowie Lipińscy idą na swą działkę, witając się po drodze ze znajomymi i przyjaciółmi. Co dziesiąty mieszkaniec miasta — pracuje w „sklejkach”, co piąty związany jest ze „sklejkami”. Dyrektor Muzyka nie bez dumy mówi: W tej chwili przystępuje do pracy w naszym zakładzie trzecie pokolenie...

RYSZARD KLIMASZEWSKI
Zdjęcia: K. ŚWIDERSKI

Hala wydziału sklejek. Brygadysta Tadeusz Trześniewski opowiada o latach odbudowy i dniu dzisiejszym zakładów.



Już trzecie pokolenie



Małżonkowie Lipińscy spędzają wolne chwile po pracy na swej działce.

ciąg dalszy ze str. 1

da się porównać z żadnym innym. Dlatego, że widać efekty w całym mieście. Tym bardziej, że Bejtman pamięta jak to miasto wyglądało w czterdziestym piątym roku.

— Kiedy przystąpiłem do pracy murarskiej, to można powiedzieć, że to była katorga. Bo tak, wybierano co lepsze cegły z rozbiórki, a tylko na kominy i lufy dawano cegły nowe. Zaprawę przygotowywało się w „japonkach”, a dostarczało na stanowiska w takich nosiśkach i do tego trzeba było dwóch robotników. Cegły układało się na tak zwane „kozy”, po pięćdziesiąt i siedemdziesiąt nawet cegieł i nosiło się na górę po takich „sztagach” czyli drabinach. No, jak tak kilkanaście razy zaniosło się te cegły na pierwsze albo i drugie piętro, to już nie czuło się nog. Pracowali wtedy dobrzy murarze — Hurynowicz, Szymel, Tynkiewicz no i majster Zywolewski.

— Majster Zywolewski przeszedł już do murarskiej legendy. Bo co to był za majster! Wyrzucił, serdeczny, wiele nauczył, po prostu miał do ludzi. Dożył 90 lat i pozostał we wspomnieniach budowlanych tych starych i młodych, którzy znali go już jako cembryta odpowiedzialnego place budowy. Lubiany był. Naprawdę to był zaszczyt z nim pracować.

— To było tak — wspomina — miał być budowany pierwszy dom z silikatów. Zebrali się cała świta ze spółdzielni mieszkaniowej, z budownictwa, wszyscy stoją uroczystość i patrzą, a ja pierwsza, białą cegłą biorę do reki, pac zaprawę i układam mur. Ale potem, jak już postawiliśmy wiechę, specjalnie piękna, to już nikt nie przyszedł. To już dla budowlanych zwyczajne, że postawia dom i od razu na inny plac idą i zaczynają od początku. I to jest takie piękne, zaczynać wciąż od początku, aż po dach. I dlatego ja nie zamieniłbym swojej pracy na żadną inną. Choć wiadomo, że budowlanin jesienią deszczem obaleje, zima wymrozi, lato wysuszy.

Trzeci zaszczyt, to wręczenie Bejtmanowi odznaki Zasłużonego Pracownika Budownictwa.

Piotr Bejtman 30 lat dojeżdża do Białegostoku z Wasilkowa. Kiedyś, jak nie było dobrej komunikacji, to szedł na piechotę. No, ale wtedy był młody i przejechał parę kilometrów to było nie trudne. A teraz niekiedy i godzinę stoi na dworcu PKS, aby tylko jechać. Zmęczony już jest, przyzna je.

— Zoną Jadwigą pracuje jako przewoźnik w zakładach włókienniczych im. Emilii Plater. W tej fabryce pracowali rodzice Bejtmana a on to już tylko budował tam kotłownię i wykończył. Syn też pracuje w Wasilkowie, w wodociągach. I tylko jemu przyszło się pół życia spędzić na budowach.

Mają Bejtmanowie swój domek, z ogródkiem oczywiście.

— Ale nie ogródek jest pasją Piotra Bejtmana, ani ryby w pobliskiej rzecze. Owszem, w ogrodzie wszystko robi, żeby rodzina miała świeże warzywa, a żona kwiaty w wazonach. Przewoźnik w zakładach Bejtmana jest służbą w Ochotniczej Straży Pożarnej. Strazakiem jest już 30 lat. Najważniejszym dokumentem tej społecznej służby, który nosi zawsze przy sobie wraz z dowodem osobistym, jest legitymacja świadcząca, że „Druh Piotr Bejtman otrzymał brązowy medal za zasługi dla pożarnictwa”.

Było to w siedemdziesiątym szóstym roku kiedy wasilkowska Ochotnicza Straż Pożarna obchodziła 80-lecie swego istnienia. To by-

ło święto! Zebrali się w Wasilkowie pobliskiej jednostki strażackie, wszyscy i on. Bejtman w mundurach wyjściowych przemarszowali ulicami. A że swojej orkiestry nie mieli, to do marszu ryli im syreny.

Takie syreny budzą często Bejtmana w nocy, szczególnie latem, gdy jest sucho i pożar ogarnie las lub zabudowania gdzieś w pobliskich wsiach.

— Człowiek wtedy, żeby nie wiem jak był zmęczony, zrywa się w nocy i biegnie przedko-

do remizy i wyjeżdża do tych co potrzebują pomocy. Bo zawsze trzeba podać ludziom pomocną rękę — mówi — ile razy tak było, że wracam pokaleczony, bo z ogniem żartów nie ma.

Najgorsza plaga, to wypalanie traw. Ogień przetrzuca się często na młode lasy. Żal, jak płoną lasy. Żal, jak płoną domy. Bo ktoś może tak dobrze to rozumieć jak nie ten co te domy buduje? — pyta Bejtman, który trzydziści lat spędził na rusztowaniach.

— Czy ktoś zauważył, że teraz nie ma rusztowań? Teraz wielkie budowy obstawione są wielkimi dźwigami. Bo i domy buduje się innym systemem i załoga inna, młodsza po zawodowców, po technikach. Nas murarzy z rusztowań zostało w przedsiębiorstwie około osiemdziesiąt. Ludzie z rusztowań już zeszli. Na poligonach budowlanych zostają młodzi, ale tak to już musi być. My już, tylko możemy popatrzeć na to cośmy dotychczas zrobili przez te minione lata, no i jeszcze pomóc młodym, póki sił starcza.

ANNA ZAREMBINA



Piotr Bejtman może powiedzieć: i ten dom budowałem i ten i tamten.
Fot. Z. Zaremba

Ludzie z rusztowań

W Gaci mówią, że pierwsza zabawa wypadła średnio. Za to druga... druga była piękna. Konkretnie zaś — zabawa była piękna do przerwy. Najpierw trzeba zaznaczyć, że Gac to jest dobry punkt. Jako punkt może z nią konkurować tylko Pniewo. Zresztą ostatnio nie za bardzo. W Pniewie remontowało się remizę. Wszystko jest zrobione, ale Urząd Gminy w Łomży nie ma czym zapłacić za remont i dlatego od pół roku lokal jest zamknięty. No więc aktualnie Pniewo nie ma bazy. W rachubę wchodzi ewentualnie Modzele, sala jest duża, większa niż w Gaci, jednak wlezie trochę na osobność.

Czy były zaproszenia? Nie, nie chcieli rozgłosu w ogóle to zaproszenia są ważne. Pisze się: „Zapraszamy na zabawę tańca, bufet obficie zaopatrzony”. Kartki przyozdabia się jakimś malunkiem, które z dużym wyczuciem piękna wykonana na przykład Bogdan, i rozwiesza. Dwa ogłoszenia daje się w miastach, tradycyjnie — na dworcach pociągów w Łomży i Zambrowie. Trzecie przysyła się na liście przy kościele w Puchalach. Najpierw Leszek Kowal-

ski spytał Edka Ollasa o drogę — gdzie i co załatwić? Leszek wymagane stemple, a potem pozwolenie zdobył. Czy pieczęć ZSPM była na pewno, ciekawi się Edek. Dziwi się, bo przecież praktycznie koło ZSPM wówczas u nich nie istniało. On jeden miał legitymację, z wojska mu jeszcze została. Inni nie wiedzieli: należało, nie należało. Jednakże Leszek Kowalski odwiedził Zarząd Województwa w Łomży z całą pewnością. No tak, nie było a-

kurat Halinę Cieślak — przewodniczącą ZG — która sytuację znała najlepiej. W każdym razie Leszek pieczęć dostał, co świadczy o tym, że Gac jednak figurowała w rejestrach ZW. Więc zabawę firmowało koło ZSPM. Nieduża była ta zabawa. Co tam sprzedali! Sześć półtłtów, trochę oranżady i klub-coll, siedemset pięćdziesiąt pięt. Zarobili nie-duzo na biletach. Dochód wyniósł z osiem tysięcy. Wszystko zostawili sobie do

podziału. Pieniądze im się rozeszły, sami nie wiedzą, gdzie i jak. Tylko Heniek kupił sobie piękny golf. Główna zabawa, ta, która odbiła się echem po okolicy, odbyła się w dwa tygodnie później, piątego listopada. Zorganizowało ją snów rodzinie Leszek i Irka Kowalscy, dobierając sobie do pomocy Halinę i Bogdan.

Była niedziela, w Gaci zabawy są tylko w niedzielę. W sobotę, nim się obrządzi gospodarstwo, jest osma, w niedzielę i tak każdy świętuje. Już od rana było w Gaci gwarno. Chłopcy z sąsiednich wsi przyjeżdżali rozpytać się, jaka będzie zabawa. Miejscowi od obładu zagrzewali się w barze „Uniwersalnym”.

Z barem, mów: Edek Ollasz, jest sprawa. Otóż, likwidując wódkę w sklepie,

ciąg dalszy na str. 4

Co brzmi w wiklinie?

Firma ta nie rezyduje w jakimś okazałym biurowcu (wystarczy parter budynku Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych), nie zatrudnia hostess, nie zadaje sztyku gabinetami. A jednak wypełnia ją dyskretna atmosfera europejskiego biznesu: zagraniczne kalendarze — suweniry na ścianach, notatniki podręczne z nadrukiem „Agropol Limited, Polish — Japanese joint venture” (co w wolnym tłumaczeniu daje — polsko-japońska spółka akcyjna) tu i ówdzie, rozmowy telefoniczne z dewizowymi kontrahentami, choćby z Francją — od czasu do czasu.

Przedsiębiorstwo Produkcji Leśnej „Las” w Białymstoku miało w swej przeszłości trzydziestoletnią historię różne plecakiki, różnych patronów, jednak niezmienne należało do grona tych przedsiębiorstw, za produkty których płacono nam bez wahania twardą zachodnią walutą. Tak zresztą pozostało. Firma obraca głównie runem leśnym, dziczyzną, przetworzonym drewnem, wyrobami z wikliny i słomy. Tylko dziesięć procent z tego wszystkiego trafia na rynek krajowy, 60 procent artykułów eksportuje się bezpośrednio, resztę w wytworach kooperacyjnych — można powiedzieć, że za cenę godziwą. Dobrze jest sobie w tym miejscu przypomnieć, iż na tonie świeżych kurek zabieramy 7 tysięcy dolarów, a na tonie węgla kilkadziesiąt dolarów.

Prócz jagód, grzybów, ślimaków, dzików z resztek polskich borów, kompotów, et cetera (więcej artykułów spożywczych, o których przy dzisiejszej okazji będzie mniej), „Las” oferuje wielkie i małe opakowania drewniane do narzędzi, 60 tysięcy grabi drewnianych, kosiska, palety, podesty (tylko na kraj). Białostockie przedsiębiorstwo jest regionalnym monopolistą w produkcji lubianek, które maszynowo schodzą z importowanej linii włoskiej w oddziale, w Waliach. Większość idzie pod truskawki, jagody, zaś pół miliona pustych — ekstra za granicę. Niejedną tam pewnie czeska albo węgierska gospodyni chodzi z nimi na grzyby.

Zubianka wygląda na aparat dość prosty, były z nią jednak problemy techniczne, mianowicie „waskie gardło na odcinku małych gwóźdź”. Ponieważ dostać je, to tyle co znaleźć księżycowy kamień, „Las” pomyślał i kupił stare maszyny — gwóźdźniarki od przebranżowionego ongiś nie-szczęśliwie przemysłu terenowego, odremontował. I ma gwóźdźni.

— Gwóźdźniarki nikt nam już nie odbierze — składa kategoryczne oświadczenie Bożena Bednarek, główny ekonomista.

To na wypadek, gdyby się przemysł terenowy odrodził.

Wyroby ze słomy i wikliny dają 12 procent sumy pieniężnej ze sprzedaży produkowanych przez białostocki „Las” towarów. Fotele, „brudniaczki” (kosze do brudnej bielizny), „psiazki” (wiklinowe kosze i budy dla psów), „magłoweczki”, biorą kupey z USA, Wielkiej Brytanii, RFN, Szwajcarii. Eksport do kł stanowi 98 procent tego, co powstaje w oddziale w Kuźnicy, w Kołach koło Białki i w domach około dwustu zatrudnionych przez przedsiębiorstwo chałupników. Dyrektor „Lasu”, Stefan Daszkiewicz mówi tak:

— Eksport nasz nie odejmuje niczego naszej gospodarce. Biorąc nie wykwalifikowaną siłę roboczą i nieużytki pod wiklinę.

No, niezupełnie nieużytki. Jak się dowiedziałem, wiklina bywa dość wymagająca, chce gleby ani za suchej ani zbyt mokrej — urzędy gminne oferują zaś ziemię najgorszą. Wiklinę trzeba pielęgnować, chronić przed szkodnikami, opryskiwać. Przeważa zdanie, że wiklina traci na jakości, że kiedyś była lepsza, ponieważ więcej ludzi zajmowało się jej pielęgnacją. Teraz ludzie odeszli do hut i fabryk kłuczowych.

Małżeństwo Irena i Jan Warszkowie pracowali niegdyś w gżyżkim „Wierzbokoszu”. W „plecionej” manierze powstają tam meble. Od kilku lat mieszkają na Białostoku w dzielnicy, w której ludzie siedzą na walizkach a stare drewniane domy umierają codziennie dziesiątkami. By zrobić miejsce betonowi miastu. Warszkowie lada tydzień przeprowadzą się do własnego domku na Starosielcach.

Warszkowie wypłacają aktualnie „psiazki” na rynek północnoamerykański. Komplet składa się z siedmiu koszy różnych rozmiarów, dopasowanych do tuszy kapitalistycznej sobaki. Wiklina przychodzi z Kuźnicy częściowo z własnych białostockich plantacji, częściowo z lubelskich. Wikliniarze zgadzają się z poglądem, że na plantacjach coś nie wychodzi, wiklina jest z kolankami i mokra.

Od piątej rano do czwartej, piątej po południu zdają robić po komplecie koszy (roboćnia dwieście złotych na głowę). Ludzie rzucają ten rodzaj chłupnictwa nie tylko dlatego, że kuszą Polcolory, Stobudy i inne wielkudły, ale i także na skutek opinii o uciążliwości tej pracy. Zamiast wikliniarstwa biorą chałupniczy wyrób rękawic roboczych, etc. Mocne tradycje wikliniarskie utrzymują jeszcze mieszkańcy Wierzbokosza koło Sokółki, jednak raczej ci w starszym wieku.

Małenki pokółk zarzucony jest wikliną o specyficznej ceglastej barwie — najbardziej pożądaną przez nabywców (po okorowaniu wikliny „opala się” na słońcu, schnie i wędruje do chałupników). Warszkowie łączą z dnem kosza wikli nazywane podstawami, wokół drewnianej formy powstaje pas wzmacniający i kolejne warstwy ścianki. Nabytymi przez wprawę szybkimi ruchami rąk obracają formę dookoła, nożycami obcinają końcówki wikliny; sięgają po następne pęki surowca. Najlepsze wikliny nazywa się amerykańką, najgorsza konopianka. Inne gatunki: purpurowa i migdałowa. Duże wyroby są gorzej opłacalne, galanteria wikliniarska napędzie.

Helena Mikutowicz, specjalistka branży wikliniarsko-plecionkarskiej (absolwentka Technikum Wikliniarskiego w Kwidzynie) mówi, że przetworzenie białostockiego „Lasu” mogłoby przyjąć od dwóch tysięcy ton surowca, zaś przyjmują 700 ton. Brak plantacji. Z kolei rynek brytyjski wiążeby z Białegostokiem dużo więcej koszy typu „Alibaba” niż się wytwarza.

Nie wytwarza się, bo brak surowca. A konkurencji nie ma. Jugosławia, Tajlandia, Chiny proponują swe wyroby niejednokrotnie taniej, na razie jednak kontrolujemy grę na tym eksportowym boisku. Myśląc o przyszłości, zastanawiam się nad sporą grupą ludzi — z różnych względów — w wieku poprodukcyjnym i ich ewentualną współpracą z Przedsiębiorstwem „Las” — w branży wikliniarskiej. Pewnie też jest jeszcze ziemia odpowiadająca uprawie wikliny w naszym regionie a leżąca bezużytecznie. 1200-osobowa załoga białostockiego przedsiębiorstwa dała w ubiegłym roku eksport wartości prawie 19 milionów złotych dewizowych (nie mówiąc o produkcji na rynek krajowy). Tyle, ile niejedna priorytetowa firma z szacunkem budującą tablicą na frontonie szklano-aluminiowego biurowca.

A jeśli można więcej?

Teraz trochę dziegiu do owych kilkadziesiąt wierszy miodu. W rozmowie z dziennikarzem dyrektorem Przedsiębiorstwa Produkcji Leśnej „Las” co chwile zastrzegał, że podawane przez niego informacje różnego rodzaju nie są do druku. Superował wprost autoryzacji tekstu. Rzecz nie warta byłaby może wzmianki żeby nie to, że podobne żądania wobec dziennikarzy zgłosili wcześniej dyrektorki kilku innych białostockich zakładów. Trzeba chyba przypomnieć prawdę banalną, iż tezy dziennikarskiej publikacji nie muszą być konieczne zgodne z oczekiwaniami postaci i instytucji w niej występujących. Taki od dawien dawna jest i pozostanie sens pracy dziennikarza, i jego obowiązków w służbie publicznej.

JACEK RATAJCZAK

Do przerwy zabawa była piękna

Naczelnik miasta i gminy, Franciszek Chrzanowski uważa, że gdy już złapie się sroka za ogon, to nie można jej wypuścić. Sroka to jakiś bogaty zakład, któremu zamarzy się własny ośrodek wczasowy nad jeziorem. Wtedy on, naczelnik, powie zgodę, prosić budować, ale wodę należy pobrać z ujęcia miejskiego, a ścieki odprowadzić do oczyszczalni miejskiej. I taki zakład chcąc nie chcąc, musi coś kapnąć miastu na te obiekty.

Jak dotąd nie udało się naczelnikowi Chrzanowskiemu, ani jego poprzednikom, utrzymać choćby jednej sroki w garści, wszystkie jakoś się wymykały. Bo oto nad brzegami Jeziora Rajgrodzkiego coraz ciśnieją, a 70 proc. mieszkańców — jak dawniej — bierze wodę do picia wprost z jeziora, gdyż w miasteczku tylko pięć studni i to na wążce.

W Rajgrodzie czas utknął jak strudzony wędrowiec i jakby przegłaś się w dawnej świętości, kiedy to miasteczko liczyło 4 tys. mieszkańców. Dzisiejszość ożywia się latem, wtedy świat przychodzi do Rajgrodu wraz z turystami, ale na krótko przecież i miasteczko znów zapada w sen. I śni sobie o wodociągu choćby ulicznym, o oczyszczalni, o mieszkaniach, i stu innych troskach, śni w ciszy, której nie znają ryk fabrycznej syreny, bo z zakładów największy tu tylko gees, jest jeszcze eskaer, bank, no i oczywiście urząd miasta i gminy, który od sierpnia ubr. zajął blok komunalny, gdyż dotychczasowe lokum wymaga gruntownego remontu. Robota jednak nie idzie zwinie i już dziś wiadomo, że potrwia to nie — jak przewidywano — półtora roku, ale znacznie dłużej.

Tymczasem w Rajgrodzie kolejka po mieszkaniach wciąż długa; Leon Batura, pracownik budownictwa w urzędzie pokazuje mi listę oczekujących jeszcze z 75 roku. Ponad 70 nazwisk, 13 osób z geesu, prawie tyłuż z urzędu miasta i gminy, po parę osób z eskaeru i innych gminnych instytucji, sporo nauczycieli, którzy siedzą w wynajętych kątach, gdyż lepsze pokoje trzymają tu ludzie dla turystów, ci zapłacą więcej za pokój

wynajęty na trzy, cztery miesiące, niż nauczyciel za rok. Już jesienią zeszłego roku miały stać gotowe trzy spółdzielcze bloki, każdy na 12 rodzin, ale to, jak dotąd, nie stało się faktem, bo nie zaczęto nawet budowy, gdyż jak zwykle zabrakło i tym razem wykonawcy. Teraz znów sprawa ożyła, ale nie nikt dokładnie nie wie na ten temat, oprócz tego, że za jeden metr kwadratowy trzeba będzie płacić 22 złotych czynszu. O terminie rozpoczęcia jednak nie słycać.

menklatury w gminie, od paru lat prezesuje miejscowej GS i jej mąż Stanisław zastępca dyrektora szkoły gminnej, parę lat zgłosił się na własny domek, ale jak mówi „pożyłki na budowę, a później na meble wzięli tyle, że dzieci ich będą jeszcze spłacać”. Na dzieci nie mogą narzekać, najstarsi synowie na stanowiskach, córka na Politechnice Warszawskiej, przyjeżdżają do Rajgrodu, ale tylko latem, bo „jest ładnie i ciepło, zresztą jak i dzieci innych, gdyż nie ma tu, zwłaszcza zimą

mówią już o tym, że ma instalowane z importu drogą maszyną o zdolności przetwórczej 2,5 tony mięsa na dobę, wykorzystywane są tylko w 10 procentach, gdyż po prostu brakuje surowca, co zresztą widać w sklepach. Jeśli mowa o sklepach, to wszystkie, oprócz spożywczego na ulicy Warszawskiej, mieszczą się w wynajętych pomieszczeniach, ciasnych i przasnianych, może stąd te manka w roku ubiegłym, chyba rekordowe od początku pracy pani Sadowskiej w spółdzielni, to znaczy od 1945 roku, kiedy to zaczęła jako kasjerka. Właśnie z powodu ciasnoty, choć ryb w Jeziorze Rajgrodzkim nie brakuje, lina czy szczupaka w miasteczku nie kupisz, gdyż nie ma pomieszczenia na sprzedaż tych delikcji.

Nie może też znaleźć sobie stałego pomieszczenia Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury, którym kieruje pani Halina Zalewska. W kilku zespołach i kółkach artystycznych, młodzi przeważnie uczą się muzyki, tańców, malarstwa i wielu innych pożytecznych rzeczy. Pani Zalewska i współpracownicy ją instruktorzy robią wszystko, by właśnie ludzie czuli się w klubie dobrze. To, czego uczy się tu dziesiątka szkolna, później prezentuje na przeróżnych akademiach, konkursach, festiwalach piosenek i innych uroczystościach i to z powodzeniem. „To — mówi pani Zalewska — daje człowiekowi największą radość, jakby wynagradza te nie najlepsze warunki”.

Istotnie MGOK od roku na komornym w remizie strażackiej. Zajmuje dwa pomieszczenia, z tego jedno jako miejsce na biurka i jako magazyn na wszelki sprzęt. Drugie to sala widowiskowa choć do widowni. Kowalski jej daleko, bez sceny z zapadającą się podłogą. Ale już niedługo, gdyż wyremontowano barak na ulicy Szkolnej i MGOK przeniesie się tam z całym doborządźstwem, a w perspektywie jest przecież prawdziwy ośrodek kultury, z biblioteką, salą na dyskotekę i kino. Wyglądało, że plany te są bliskie rzeczywistości, gdyż znalazł się nawet wykonawca tego obiektu, oczywiście z Warszawy, ale niestety w ostatniej chwili zrezygnował, wymknął się jak sroka, a prawie już w garści.

Gdy z wiadomością tą wyszedłem do naczelnika, przysiadłem na laweczce obok dwóch młodzieńców z tranzystorem. Z radyka leciała piosenka. „Do nieba blisko, do szczęścia blisko”. Do rajku w Rajgrodzie trochę dalej — tak mi się pomyślało tylko.

SI. POGORZELSKI

Trochę dalej do rajku

Podobnie, choć nie całkiem, ma się rzecz z osiedleniami domków jednorodzinnych w obrębie ulic Jaćwieskiej, Piastowskiej, Powstańców i Zabielskiej. Pani Kukowska, która pracuje w sklepie meblarskim mówi, że zapisała się, gdy jeszcze na świecie nie było jej młodszej córki. Tymczasem ta już dorosła do trzeciej klasy, a osiedle domków jednorodzinnych, nazwane rok temu „Rongart”, jeszcze nie wykaraskało się z ziemi. Jeśli o tym mowa, to budownictwo jednorodzinne w Rajgrodzie prócz deklaracji, nie ma rzeczywistego wsparcia. I skutki są widoczne jak na dłoni: z roku na rok powstaje coraz mniej domków; w 76 roku wybudowano w tym dwutysięcznym miasteczku 5 domków, a w 77 już tylko trzy i tyleż w roku ubiegłym. Przestaje to dziwić, gdy się prześledzi drogę, jaką ma pokonać amator domku, aby tylko otrzymać działkę i kredyt. O materiałach już nie powiem, bo jest ich tyle, że nie ma o czym mówić.

Pani Aniela Sadowska, jedyna rodzaczka Rajgrodu na stanowisku no-

ma żadnych atrakcji i ciekawej pracy prócz stanowisk referentki i z tymi mieszkaniami taki mortus, a ponadto młodzi nie mają możliwości tak szerokiego kontaktu z kulturą jak w prawdziwym mieście”.

Pani Sadowska odpowiada za handel i o tym może powiedzieć więcej. W zeszłym roku spółdzielnia wyszła na zero, to znaczy bez strat i zysków, ale dynamika w stosunku do roku 77 jest, prawie 12 procent. Za artykuły do produkcji rolnej wpłynęło do kasy spółdzielni 36 mln złotych i ponad 16 mln złotych za alkohol, nie licząc piwa i wina. Tu dynamika też nie słabnie, co trochę martwi panią prezesa, jako działaczkę gminnego komitetu przeciwalcoholowego.

Najnowsza inwestycja geesowska, masarnia, zjadła też niemało zdrowia, pani Sadowskiej. Budowę saczynała geesowska brygada z Grajewu, a kończyła z Kolna i aż dziw, że ta budowa nie zainteresowała się prokuraturą. Dwa lata, a właściwie rok temu ukończono budowę i już dziś trzeba zmieniać cały dach, rynny, wewnątrz odpadają płytki, nie

dami wożą się tylko samodzielni gospodarze. Samochód jest trochę kłopotliwy, bo jak wraca człowiek zmęczony, zawadza o płyty. Z drugiej jednak strony bywa potrzebny: szukasz dziewczyny, nie ma jej w Gaci, jedziesz na przykład do Kolaka, może tam jest. Samochód ułatwia załatwienie.

Wiesiek Modzelewski z „Evensa” (uczeń Technikum Mechanicznego w Łapach, na stałe w Wypychach) zapiewał przebieg ostatniego „Lata z radiem” i młodzież na sali zafalowała. To nie był taniec, to było falowanie. To właśnie było coś, czego nie mogą zrozumieć starsi.

Dlatego starsi nie przychodzą na takie potańcówki. Owszem — pobawić się, czemu nie. Były egzaminy na kwalifikowanego rolnika. Po egzaminie zrobili przyjęcie. Wcześniej kupili pół świniaka i dodatkowo złożyli się po dwieście pięćdziesiąt od lebaka. W trakcie okazało się, że to za mało. Zrzucili się po pięćdziesiąt, potem jeszcze po stówie. Grał Stefan Konert z synami (akordeon, saksofon, perkusja). Jest co wspominać — tanga, walczyki, poleczki. Poszło osiemnaście litrów. Udana zabawa.

Przed północą zespół „Evens” zagrał czełkadowego walczyka. Walczyk jest po to, aby każdy chłopak kupił swojej dziewczynie czekoladę.

Potem Leszek Kowalski poprowadził muzykantów na kolację. „Evens” to jest wyjątkowo zespół abstynentów. Pił tylko perkusista, pół kieliszka może wypić.

Objęte pary wtopiły się w ciemności za remizą. Chłopcy ciągnęli dziewczęta na spacer po łąkach, żeby pokazać im co w trawie piszczy. Nie dał długo pospacerować listopad. Młodzi wracali i kryli się po domach u znajomych.

Później — po przerwie — wybuchła awantura. Wic Leszek Kowalski wpadł na salę z okrzykiem: ukradli mi kasę. I wskazał na chłopaka w okularach, że on winien. Chłopaka w okularach, choć pierwszy raz był w Gaci, wszyscy pamiętają. Zwracał na siebie uwagę, bo co godzinę dochodził do muzykantów ze stową w wyciągniętej ręce i wołał: teraz gracie dla mnie. Posadzenie go o kradzież wyglądało na uzasadnione. Potem pieniądze z kasy się znalazły (może sam Leszek je schował). Było już za późno. Właśnie Bogdan, czyli porządkowy, miał rabusia pod obcasami.

Pobity zgłosił się na milicję.

Zatem to, że zabawa była nielegalna, wydało się przez przypadek. Gdyby nie bójka, Leszek i Irka mogliby zorganizować następne potańcówki. Na dwóch

potaćcówkach zarobilił sześć tysięcy. Niechby urządzili ich dziesięć, mieliby sześćdziesiąt tysięcy. Co by zrobili z pieniędzmi?

Edek Ollasz uważa, że Leszka ruszyłoby w końcu sumienie — może by się przestraszył — i dochód z zabawy przekazałby na konto ZSMP. To byłoby wspaniale.

Najpierw kupiliby stół pingpongowy. Do remizy by się go wstawiało. Edek, jak był w internacie technikum rolniczo-łaskarskiego w Wojewodzinie, grał w pingponga intensywnie, dużo umie, nauczyłby grać chłopaków, że hej. Kupiliby też sprzęt do siatkówki i szachy. Już byłoby coś we wsi.

Teraz, a teraz nie ma: Jest klub w domu u Smar-kiewicz. W klubie leżą od półtora roku te same „Tygrysy”, dostaje też klub dwa „Motory” i jedno „Forum”. Wszystko. Szachów nie ma, „Luizy” stoi zepsuty. Nie ma po co chodzić do klubu. Zresztą w zime był nieczynny, nie do-wieźli węgla.

Potrzeby kulturalne młodych z Gaci przerastają znacznie możliwości klubu.

Dlatego Leszek, gdyby ruszyło go sumienie, mógłby krajanom pomóc. Oczywiście, nie jest wykluczone, że nadal postępowałby ego-

istycznie. Na przykład zarobił z zabawy ciutalby na samochód. Może mieć przecież takie marzenie: pojedź pod remizę siwą „Wołga”. A co zrobiliby Irka? Irka poznała na weselu u siostry dalekiego krewnego z Ameryki. Krew-ni zakochał się w niej bez pamięci. Pisze listy. Proponuje małżeństwo. Ma już z pięćdziesiątkę, ale zawsze to Amerykan (tak właśnie mówi: Amerykan). Co wie Irka o Ameryce? Wie tyle, że ten co był w Ameryce ma tartak, drugi wystawił sobie dom i kupił auto, Irka dużo wie. Więc może do-chodzi z zabawy zbierałaby po to, żeby polecić samolotem do Ameryki. Tak, Ameryka...

Tylko pomyśleć: takie piękne marzenia wzięły w łeb przez głupi przypadek.

Natomiast Edek Ollasz jest właściwie zadowolony, że się wszystko wydało. Teraz znacznie częściej bywa u nich Halina z ZG. W lutym zrobili zebranie i został formalnie przewodniczącym koła. Iu ma członków?

— Dziewięć.

— Jedenastu — poprawia go karcą Halina, przewodnicząca ZG.

ANDRZEJ RÓŻALSKI

P.S. Nazwiska organizatorów zabaw są fikcyjne.

„Niniejszym prosimy Redakcję o zainteresowanie się niżej opisaną sprawą, z której wynika, w jak trudnej sytuacji znalazła się w schyłku życia Stefania W., licząca lat 89, zamieszkała w kolonii T. woj. Białostok. Stefania W. uczyniła zapis gospodarstwa rolnego i całego majątku na rzecz swego wnuka Henryka K. I jego żony Marianny. Małżeństwo K. przejęło majątek, lecz nie zapewniło ani opieki, ani żywności. Stefania W. skierowała sprawę do sądu o rozwiązanie umowy o dożywocie (akta C 57/79 — Sąd Rejonowy w Białymstoku, Wydział I Cywilny).

W dniu 26 marca sąd rozpoznawał sprawę i przyznał Stefanii W. 1000 zł miesięcznie. Umowy nie rozwiązał. Ponieważ Stefania W. zaufała wnukowi i jego żonie, a obecnie mieszka w okropnych warunkach prosimy Redakcję o pomoc, sprawdzenie na miejscu i doniesienie, że jesteśmy dziećmi Stefanii W. i nie możemy pozwolić, aby za majątek mamy stała się taka krzywda”. List podpisała Jadwiga R. i Wincenty W.

W polu, poprzedzonym zielonymi miedzami i pasmami łąk jakieś dwa i pół kilometra do miasteczka T. stoja trzy domy z zabudowaniami. Piaszczysta droga prowadzi na jedno z podwórek. Przypadkowo zagadnięty mężczyzna, który robił podorywki wiosenne i na chwile przystanął, by koń odpocząć, macha tylko ręką.

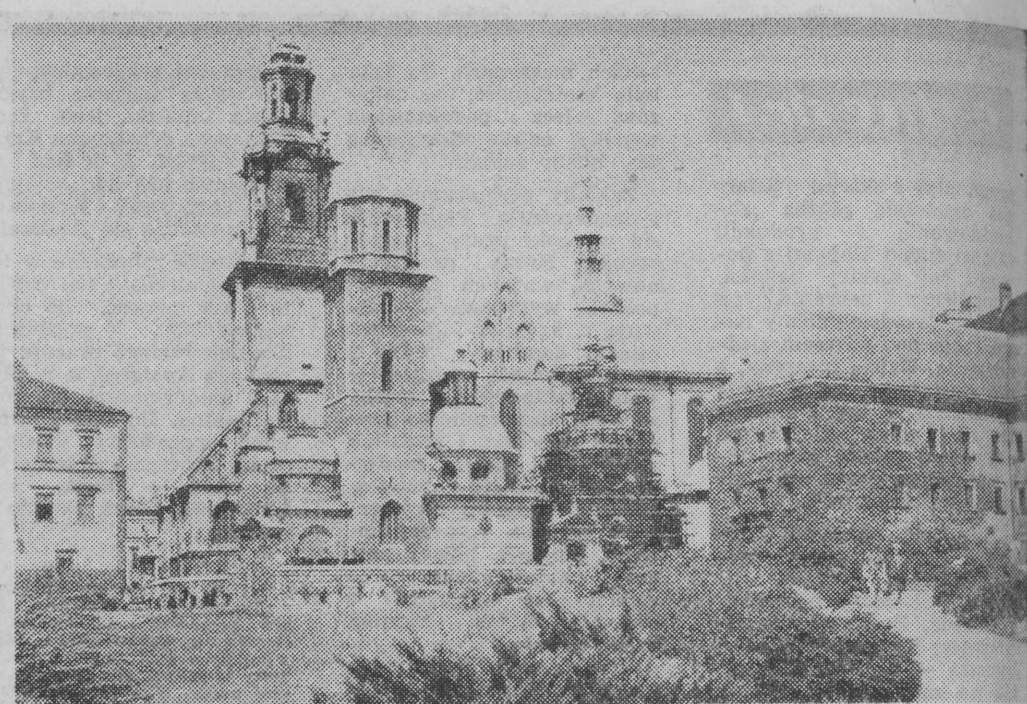
— I dzieci niedobre i wzrok niedobry. Jeśli można, to najlepiej zlikwidować te zapisy, przywrócić własność Stefanii W. — radzi i zapewnia, że chętnych na te sześć hektarów ziemi byłoby wielu. I na pewno staruszka miałaby spokojne życie. O nie by ją głowa nie bolała.

W podobnym tonie słyszę opinie sąsiadów Stefanii W., z tym,

że bogatsze w szczegóły. Bo wyłaniają się problemy nabrzmiałe od lat w tej rodzinie. Skąd one wzięły początek, trudno po tylu latach ustalić.

Stefania W., wdowa od 45 roku, ma pięcioro dzieci. Dwie córki mieszkają w miasteczku obok, jedna w Szczecinie, syn Wincenty na odległym stąd kilkanaście kilometrów wsi R., drugi za Gdańskiem. Te szczególne informacje o tyle wydają się cenne, że każde z rodzeństwa swój start w dorosłe życie rozpoczęło pod dachem matki. Kończył się on zawsze wyprowadzką dość głośną i nierazdło w sądzie. Szło o ziemię. Dzieci chciały zapisów, matka się nie zgadzała. Zapisze, a później już niepotrzebna, wygonią z domu. Ciągło się tak latami.

Raz Stefania sprawę w sądzie przegrała, ale złożyła apelację od decyzji sądu, jakieś ustawy się zmieniły i znówu była gospodynią. Moje nie tak zupełnie, bo obrabiała swoje hektary na spółkę z pewnym rolnikiem. Dobrze jednak na tym wychodziła. Aż tu przypadła się choroba. Obustronne zapalenie płuc zmogło ją na kilka tygodni. Trzeba było opieki, a dzieci odwróciły się od wszelkich obowiązków. W tym czasie ożenił się wnućzek, syn najstarszej córki. Ta-



Trwa renowacja Krakowa

Unikalne wartości urbanistyczne, architektoniczne, kulturowe i historyczne stawią Kraków w rzędzie miast o znaczeniu wyjątkowym w skali światowej. Wawel czy Sukiennice zostały już dawno uznane za perele architektury, ale swoją urodę zachowując także niewielkie kamieniczki, kościółki, budowle.

Stary, zabytkowy gród nad Wisłą, siedząca dawnej władzy królewskiej i królewskiej, dzięki decyzjom państwowym znów powróci do świetności. Już w latach 1976-77, zgodnie z Uchwałą Rady Ministrów wydano pół miliarda złotych na renowację miasta. W bieżącym roku przewi-

dziane jest na ten cel dalsze 434 mln zł. W 1979 roku odnowione zostanie 106 obiektów zabytkowych, m. in. wieża Kociola Mariackiego, Wierzynek, budynki przy Brackiej, Stolarskiej, Gródzkiej, Stawkowskiej i Kanonicznej.

Z roku na rok zakres robót i nakłady będą się zwiększały, ale i pracy jest niemało. Kraków posiada łącznie około 3500 zabytków architektury, w tym ponad 1000 obiektów i zespołów o najwyższych walorach architektonicznych i historycznych. (AB)

Zdjęcia CAF — Sochor



Zabiegł czyszczenia i konserwowania eksponatów w wawelskim skarbcu i zbrojowni.



Na zdjęciu: zakładanie nowego kutego szylu na portal kamieniczki przy ulicy Grodzkiej.

Do przerwy zabawa była piękna

Ciąg dalszy ze str. 3

a w barze zostawia. Dlaczego rolnik ma płacić za pół litra sto siedemdziesiąt złotych, jak w „Mazowieckiej” w Łomży. Żeby jeszcze w barze dali coś zjeść! Jest w barze puszkowana kiełbasa w kapuscie, śledź w oleju i wywieszka: „Alkohol sprzedajemy do przekąsek”. Dobrze sobie. No, a czy w ogóle wódka w Gaci musi być? Musi. Przecież to jest prawie gmina wieś — bank, piekarnia, z której chleb bierze nawet Łomża, ośrodek zdrowia. Ludzi przyjeżdżają za interesami dużo, każdy chce wypić te pół litra. Jeszcze jeden argument podaje Edek, argument natury ambicioznej, mówi: Taka dziura jak Pniewo, a wódkę ma.

Więc obie dziewczyny stały przy biletach. To jest trudna praca. Bez przerwy ktoś wychodzi do bufetu i wraca, bez biletu rzucił ją. Kupował wcześniej bilet czy nie — trzeba oddać. Praca przy biletach polega na tym, żeby mieć wyzucie w rękach.

Bogdan pilnował porządku. Bogdan to jest ten, który był w więzieniu, bo popełnił mijał. Kompetencje na porządkowego Bogdan ma oczywiste.

Leszek prowadził u siebie w domu bufet. Trzeba przyznać, że popisał się dużą zręcznością. Najpierw kupił piwo i w dodatku tam, gdzie trzeba. Piwo kupuje się u sklepowego, na którego można liczyć. Ryzyko jest takie, że piwa może zostać. Takie piwo znajomy sklepowy przyniemy w poniedziałek z powrotem. Ale było inaczej, Leszek wyczuł, że piwo idzie dobrze, więc czterysta butelek sprzedał po dziesięć złotych, a potem wywinął cenę na piętnaście. I tak poszło wszystko. Z czekoladą wykonał odwrotny manewr. Zaczął od 40 złotych za tabliczkę, potem obniżył cenę aż do dwudziestu pięciu.

Jednak sprzedał. „Stolową” oddawał za sto siedemdziesiąt. Było czterdzieści pięć butelek.

Edek Ollasz, jak wszedł wtedy na salę — późno już było, zasiedział się trochę przy telewizorze — mruknął: — Ho, ho.

Rzecz jasna, tak jak na zabawie w odpust na Wojciecha, którą sam zresztą organizował (o dziewczęta rano podjechał z piwem pod kościół w Puchalach, potem, wpaść na pięć minut do domu, wsadzić głowę i nogi pod zimną wodę i o piątę stał już w bucie). Nie było tak dobrze, to już nie było. Niemniej zapowiadało się pomyślnie. Ludzi przyszło dużo. Na scenie znajdował się zespół „Evens”.

„Evens” to jest fajny zespół, bo potrafi wczuć się w młodzież.

Wszystkie z rzeki, więc Szełgi, Pensy, Lady Borowie, jednym słowem wieś, co zawsze z Gacią trzymają, stały na lewo od wejścia. Drugą ścianę podpierali chłopaki z Podgórza i okolic. Dwa obozy. Spiecia na zabawie są często, ale nie zawsze musi wynikać z nich coś poważnego. Dużo zależy od organizatora, organizator powinien mieć chłodną głowę. Jak na zabawie jest Malsiuk z Podgórza bójka pewna, bo ten szuka zaczepki. Sztachety jako broń nie są już w użyciu. Teraz odbywa się kulturalna bójka. Na pięści. Każdy ma telewizor i ogląda westerny. Westerny nauczyły chłopaków szlachetności.

Na sali było dużo dżinsu. Edek od razu ocenił: każdy ubierał się w lustrze.

Pod remizą stały samochody. Była siwa „Wołga” Mietka z Pensów i duży „Fiat” Staska z Kotów. Najwięcej samochodów mają chłopaki z Kotów, to najbardziej zamożna okolica. Rzecz jasna samocho-

Ani ziemi.

na nie chce, bo przyzwyczajona sama mieszkać — ale przez całą zimę do niej nie zajął. Właściwie na jej ziemi i taką opiekę zapewniał! Tyśiąc złotych przysłał i myśli, że to wystarczy. A z dzieci też żadne ani myśli zająć się matką. Majątek im najwazniejszy.

Rozglądam się po tym majątku, który zniszczył najbardziej ludzkie uczucie — miłość dzieci do matki. Kilka ogromnych kamieni — to pozostałość po oborze, strzechy słomiane ze stodoły wichury i deszcze wgniotły w ziemię. Chodnik z płyt, pamiętający zapewne lepsze czasy gospodarstwa, kończy się przed samym progiem domu. Drzwi zaryglowane od wewnątrz. Długo trzeba stuknąć, nim staruszka powoli odsunie zasuwę. Zakurzone szyby niewiele wpuszczają światła w mroczną kuch-

rało. Wnuk, dopóki ziemia do mnie należała, dobry był, że do rany go przysłał. Do kościoła zawiózł i do doktora, i pomagał. A teraz jakby się pod ziemię zapadł. Od roku już tu nie zagląda.

I popłynęły żale, że pieluchy jego prą, że tyle mu ziemi dała, która na czarna godzinę trzymała, by kto kubek wody podał, że ziemię było komu zabrać, a dochować nie ma komu. Daje po tysiąc złotych, a co z tym papierkiem sama zrobię?...

Wśród tej powodzi skarg ciągle przewija się prośba: „Ja bym chciała z powrotem ziemię na siebie, a później na dzieci zapisać, niech się dzielą. Nie zechcą — oddam państwu”. Z głębokim namysłem, po cichu dopowiada: może wtedy dzieci się mną zaopiekują, będą lepsze.

„Leśna królowna”, opera-balet w dwóch częściach i ośmiu obrazach Jana Foltka była na tegorocznym Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu wydarzeniem numer jeden. To, że była to właśnie opera, (prapremiera odbyła się 3 czerwca 1978 r. w Warszawie) prowadziła na trop imprezy imponująco widowiskowej, śpiewno-tanecznej i zorkiestrowanej potężnie. Genrę „Leśnej królowej” jeszcze raz okazał się mieć taką siłę przebicia, że zapanał nad Poznańskim Pałacem Kultury z iskrą monarszym absolutyzmem zmuszając do wielopoddanego skłonu nawet Bolka i Lolka, nie mówiąc o przekwitającej, bo już 50-letniej Mysze Miki.

Wieczór „Leśnej królowej” odbył się pierwszego dnia Biennale w dostojnym gmachu Opery Poznańskiej i trudno byłoby na resztę dni nie dołączyć do jej wspaniałego orszaku złożonego ze 140-osobowego chóru, orkiestry i baletu w wieku szkolnym. Opera jest rzeczywiście olśniewająca, a najcenniejszą jej recenzją zdaje się być jęk zachwytu jaki wydaje z siebie młodociana widownia przy pierwszej już odsłonie. W prawdziwie operowej scenografii i bajecznych kostiumach dzieje się to niewiele ponad godzinę, ale zapada w człowieka tym mocniej, im mniej lat ma człowiek.

Nie inaczej było na oficjalnym ot-

warcu Biennale, kiedy nawet wystąpienie Wojciecha Żukrowskiego skutecznie przyćmiło werble i fanfary sławnego już zespołu „Parada” wspomaganego przez samego króla Maciusia I, Rumcajsa z rodziną, Koziołka Matołka oraz psa Reksia. A więc opera, balety, przemówienia, parady, a w festiwalowym bucie, w dorosłych jakby nie było kuluarach, na pierwszym miejscu do godz. 14-ej — krem z bitą śmietanką. A więc okazale i pokazowo, obficie przy tym i jak w oficjalnym wystąpieniu podkreślił przedstawiciel lokalnych władz: nigdzie indziej na świecie, tylko w Poznaniu. Jak biennale, to biennale.

Wielako muszą rozczarować wszystkich przeciwników RZĘZANIA artystycznej materii na sztuki dla dzieci, dla emerytów, karmiących matek i dla kierowców. Poznańskie Biennale nie wyczerpuje się na formule świątecznego festynu, nie kończy się na pokazach tego co jest. Impreza od tego się zaczyna, że z fanfarami i werblami wchodzi w kulturalne życie miasta, ale to co najważniejsze dzieje się w ciszy szkolniowo-metodycznych gabinetów, na kolokwium w międzynarodowej obsadzie, naukowych sympozjach i ciagnących się długo w noc

i dzieci. Biennale wyrosło na solidnych podstawach, jakie stworzyli mu ruchy w rodzaju proscenium, Pro Libris, Klubu X Muzy oraz fenomen w dziedzinie upowszechniania czyli Pro Sinfonika z założycielem Alojzym Łuczakiem w roli Prezesa Prezesów. Nie bez znaczenia jest również fakt, że właśnie tu tak znakomicie hodują się słynne w świecie „siowiki” czyli chłopięce chóry Stulgrosza i Kurczewskiego.

Festiwal filmowy o ponad 15-letniej już tradycji zgromadził w tym roku blisko 40 wyselekcjonowanych, których rozpiętość tematyczną i formalną sygnalizują już same tytuły

ty się na ogół fatalnie, a przecież mało komu przyszło do głowy podejrzewać starego mistrza, że nam zdemoralizował parę pokoleń.

Uczestnicy Biennale na ogół zgodni byli, że sztuka ma ogromne znaczenie wychowawcze i poznawcze, ale naginanie jej do bieżących potrzeb pedagogicznych należy traktować jako nieporozumienie. Sztuka obojętnie czy dla dziecka czy np. ludzi, zawsze pozostaje tworem autonomicznym i zbytnia ingerencja w porządek artystyczny musi natychmiast zabrznieć fałszywie, co powoduje natychmiastowe jej odrzucenie, a w efekcie żaden skutek pedagogiczny w

ustannie płynącym potokiem informacji, ale informacji fragmentarycznej, trudnej do zinterpretowania, a w końcu wywołującej wrażenie chaosu, a nawet zagrożenia, któremu towarzyszy samobronny sceptycyzm. W tym miejscu wielu teoretyków skłonnych jest przypisywać sztuce balsamiczne wprost właściwości, dzięki którym obraz świata staje się bardziej harmonijny i jednorodny, bardziej „stylowy”, a więc łatwiej rozpoznawalny.

Hasło „Między dzieciństwem a młodością” najwięcej kłopotliwych stwierdzeń wywołało przy rozważaniu spraw dziecięco-młodzieżowego teatru. Pierwszą taką konstatacją jest stwierdzenie, że akurat mniej więcej w wieku dwunastu lat dzieci nie chcą chodzić do teatru, ku kukielki, bo lalka staje się już wstydlwym symbolem dzieciństwa. Taki „dorosły” dwunastolatek chętnie by obejrzał „Sześć małych pingwinów”, ale nie pójdzie, bo mu nie wypada. Efekt jest taki, że ambitny delikwent przez następne dziesięć lat do teatru nie zagląda, od teatru się odzwyczajają i dopiero rada zakładowa kusi go bezpłatnym biletem, ale już nie na „Sześć pingwinów”, lecz na „Sześć postaci” Pirandella. Luka w artystycznej edukacji spora, a zatkniętą jej nie ma czym, bo w Polsce nie ma teatru dla nastolatków z wyjątkiem dwóch scen, próbujących się z tym jakoś uporać.

Amulufów w upowszechnianiu, a nawet w udestopnieniu kultury teatralnej dzieciom i młodzieży jest więcej. Narzeka się na brak fachowej recenzji takich widowisk, na brak aktorów (ok. 200-tu w skali krajowej) brak szkół i brak reklam. Min. aż sześć teatrów lalkowych w Polsce nie ma własnego budynku, istnieją tylko dwa wydzielone aktorskie i nie ma wydzielu reżyserskiego lalkarzy. Teatr lalki ciągle jeszcze musi się tłumaczyć, że nie jest teatrem gorszym od dramatycznego tylko innym. A z drugiej strony, zwłaszcza w Międzynarodowym Dniu Dziecka tak chętnie cytuję Stanisława, który mówił, że „dla dzieci trzeba jak dla dorosłych, tylko lepiej, czystiej i szczerzej”.

ANDRZEJ KOZIARA

Jak dla dorosłych, tylko lepiej

dyskusjach z udziałem twórców, teoretyków, animatorów, pedagogów i w ogóle ludzi mających tu coś do powiedzenia. Nieprzypadkowo przecież właśnie przy Biennale dwukrotnie już ogłoszono konkurs na najlepsze prace magisterskie, doktorskie i habilitacyjne, dotyczące problemów sztuki dla dziecka. Już choćby z tego powodu, że badania takie są fragmentaryczne i rozproszone, cel Biennale — gromadzić i dokumentować — zasługuje na uznanie. Głównym celem Biennale pozostaje nadal przegląd twórczych działań i osiągnięć w dziedzinie literatury, teatru, muzyki, filmu i plastyki, a także twórczości radiowej i telewizyjnej, jednak ważne jest, że temu przeglądowi towarzyszy myśl teoretyczna i to nie w sposób przypadkowy lub zdawkowy, lecz autentycznie twórczy. Niemniej ważne jest i to, że impreza nieobca jest również troską o dalszy rozwój sztuki adresowanej do najmłodszego czytelnika, widza i słuchacza.

Oczywiście poznańskie Biennale nie urodziło się nagle i z niczego. U jego podstaw leży dawno już prowadzona w tym mieście, po poznańsku rzetelna działalność upowszechniająca kulturę muzyczną, teatralną, filmową i czytelnictwem wśród młodzieży

takie jak „UFO”, „Myszka i mucha”, „Wielka podróż Bolka i Lolka”, ale także „Znak orla — edukacja” etc. W filmach tych Pirandella, Fimpel i Flips walczą z potworem, diabełku wrzucasz krasnalą do przegrębki, a domek Muminków obrasta ją pnąca.

Wśród tej okazałej produkcji (w Polsce produkuje się około 100 filmów dla dzieci rocznie) zdarzają się filmy mądre i jawnie głupie, a także kontrowersyjne jak np. dyskutowany na Biennale pełnometrażowy i aktorski film „Idziak”, „Nauka latania”. Z filmem, wziętym pod uwagę, że nie samymi Bolkiem i Lolkiem dziecko żyje — nie jest źle. To, co min. można mu zarzucić, to to, że jest zawsze z happy endem jakby dziecko nie miało prawa do dramatu. Szczególnego zakończenia zaciekle bronią pedagodzy jakby zapomnieli o Anderseniu, którego baśnie kończą

najlepszym przypadku, a w najgorszym — skutkiem odwrotnym od zamierzonego.

Tegoroczne, czwarte już Biennale Sztuki dla Dziecka odbyło się pod hasłem „Między dzieciństwem a młodością — sztuka pomaga w rozumieniu świata i siebie”. Wiele mówiono o tym, że kontakt ze sztuką pozwala dziecku, z natury przecież ciekawemu wzbogacać tę wiedzę w dodatku w sposób dla niego atrakcyjny. Obcowanie ze sztuką pozwala na nieograniczone wędrowanie w czasie i przestrzeni, a przy tym wiedza, którą się zdobywa tą drogą ma najczystszy charakter konkretny i obrazowy. Na tym przecież nie kończy się pedagogiczna rola sztuki. O wspólnym człowieku mówi się nie bez powodu, że dużo wie, mało myśli i w nic nie wierzy, czyli że jest to osobnik bombardowany nie-

Efechem toczących się przed kilkunastu laty dyskusji na temat umuzykalnienia społeczeństwa — a pamiętajmy, że odbywały się one m.in. wskutek pojawienia się „pokolenia głuchych” — był raptowny wzrost placówek dydaktycznych. Za tym poszła zmiana systemu kształcenia ogólnomuzycznego w podstawowych i średnich szkołach, wprowadzenie w powszechnej dziecięco-latce nowego programu wychowania muzycznego, wreszcie — po reformie administracyjnej — uruchamianie kolejnych szkół muzycznych w nowych miastach wojewódzkich.

Jedna z najmłodszych

W naszym regionie istnieje sporo szkół i stopnia, niektóre z nich liczą sobie po dwadzieścia i więcej lat, niektóre zaś stawiają dopiero pierwsze kroki. Przed kilkoma miesiącami pięćdziesięcioletnia obchodziła Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Suwałkach, którą od dwóch lat prowadzi Jacek Puchnowski, zasłużony pedagog, wieloletni organizator bardzo dobrych chórów i orkiestr szkolnych.

CZY DYSKONUJĄ?

Jednym z podstawowych problemów — przypominanych nie od dziś — jest w nowych wojewódzkich miastach brak bazy. Zaspokojenie potrzeb związanych zarówno z efektami reformy administracyjnej, jak i ambicjami awansujących

miast sprawia, że nie zawsze potrzeby szkolnictwa artystycznego (czy w ogóle kultury stawiane są na pierwszym miejscu. Kiedy dwa lata temu odwiedziłem suwalską szkołę przypominała ona raczej tymczasowy barak — chociaż mieści się w budynku przy głównej ulicy — niż placówkę dydaktyczną z ambitnymi planami. Dzisiaj jest już o wiele lepiej, chociaż ciasnota pomieszczeń nie pozwala na pełne rozwinięcie działalności. Od dwóch lat trwa modernizacja wnętrza, otwierane są nowe klasy, przyzwyczajają się nareszcie sala koncertowa, spełniająca ważną funkcję zarówno w szkole, jak i w mieście. Zresztą sporo swojej pracy społecznej włożyli tu nauczyciele i uczniowie, bardzo pomogły resortowe i admini-

stracyjne władze Suwałk. W najbliższej przyszłości do dyspozycji szkoły oddane mają być kolejne pomieszczenia w sąsiednim budynku, ale jest to już uzależnione od terminu oddania do użytku nowych inwestycji budowlanych.

Kolejny problem, nekający nie tylko szkolnictwo muzyczne, ale i zawodowo pracujących muzyków — to instrumenty. Otrzymanie w sklepie bądź w centrach handlu instrumentami lepszych egzemplarzy graniczy niemalże z cudem. A ideałem jest komplet instrumentów, wyprodukowanych przez jedną firmę. Naturalnie idzie tu o sprawę brzmienia tak wyposażonej orkiestry, a nie o wygląd estetyczny. Suwalska szkoła przeżyła w ciągu ostatnich dwóch lat — co jasno wy-

nika z dokumentacji — coś na kształt małego cudu. Zakupiono tu bowiem instrumentów (w tym sporo lutniczych) na sumę ok. 2 mln złotych, co — jak zapewne orientują się fa-

chowcy — jest ewenementem na wielką skalę. Kierownictwo szkoły wychodzi bowiem ze słusznego założenia, że planowany rozwój

Ciąg dalszy na str. 6



Zespół szkolny pracuje pod opieką dyrektora PSM Jacka Puchnowskiego.

Fot. R. Łysioneł

Z BLISKA

W ramach wiosennej akty-wizacji poszedłem na spotkanie z młodzieżą i mówię do niej, że powinna się cieszyć, gdyż nadchodzi czas wiosny czynów. Od razu mnie zgromiła i wyszedłem na durnia. — Jak tam wiosna, U nas cały rok czyn obowiązuje. Ucieszyłem się, uśmiechnąłem jak trzeba i dawałem, chwalić, ale patrząc — miny coś kwaśnie, gdy dorosłe, wody w usta nabrali. Cisza się taka zrobiła, że aż słychać było, jak w trawie coś piszczy. No i wreszcie wyszuchali jednego, ten wstał i jak na zebraniu z mównicy...

— Towarzysza redaktorze, u nas aktywność w organizacji postanowili, że nie tylko wykonamy roczne wskaz-niki, jakie nam minister-

cznej ma wykonać uczeń w ciągu roku szkolnego we wszystkich typach szkół. Ze też mogłem zapamiętać. Teraz i ta śnieżna zima od razu stała się zrozumiata. Spytałem tylko co „spowiedź” oznacza, ale okazało się, słusznie, że to wywiedówka.

— Powiedzieć zatem jak doszliśmy do takiego sukcesu? Jakie wypracowałyśmy metody? — zagrała stara zawodowa nutka.

— Metody? Tych to jest wiele, ale tylko jeden Cyryl nad nami — parsknął gromkim śmiechem.

— A kto to taki?

— Dyrektor. Już jesienią kazał nam w obawie o plany liscie w parku grabie — o-

dnie nie na miejscu. Ma to być chyba niedoparta chęć i potrzeba, której nie można się oprzeć, wewnątrz głosu, któremu nie sposób się sprzeciwić. Jeśli ktoś za mój brak obowiązku ma sprawić mi manto, to przepraszam — ale ja taki obowiązek chronię. Obowiązek, jeżeli już zgodzi się na to słowo, musi mieć źródło wewnątrz, wypływać z przyswojenych w procesie wychowania zasad i norm moralnych.

Natura społecznikostwa jest — bezinteresowność. Czy można nazwać społecznikiem kogoś, kto czyni dobrze, ale odnosi z tego tytułu korzyści osobiste, profity. A w cytowanej wyżej zasadzie, kto nie jest społecznikiem, i to w wymiarze oddał dotąd, be-

Czarownicy

stwo ustaliło, ale przekroczyliśmy plan średnio o dwadzieścia przecinek pięć punktów.

Trochę mnie zamurowało, ale nie takie już rzeczy słyszałem, proszę więc o bliższe wyjaśnienie.

Nie da się ukryć — kontynuuje mówca — z samego początku czuliśmy, że element i wieloznaczność oena z zachowania była poniekąd średnią. Zdziałała jednak dyrekcja, starzy też dostali wygwar na spowiedzi, potem śnieg spadł jak z nieba, no i teraz — choć do końca roku sporo jeszcze zostało — możemy zameldować o przekroczeniu planów.

Teraz to już spełnienie nie wiedziałem o co chodzi. Pytałem zatem ostrożnie i te wskazniki z ministerstwa.

Też oczy srobił. Cytując jednak jak z nut. — Zarządzenie Ministra Oświaty i Wychowania numer taki a taki lamany przez... z 1974 roku. To najnowsza wersja z podwyższoną normą — 72 godziny rocznie. Tyle pracy społeczno-użyte-

wuska. Liści dużo na drzewach jest, więc jak napadało znowu, to dalej grabiliśmy. No i godziny nam leciały, a panie rzetelnie zapisywały.

Jako żywo przypominałem sobie swój czyn społeczny na osiedlu, kiedy to kopaliśmy rowy pod jakieś przewody czy rury. Potem rowy tak stały w dziewiczym stanie póki dzieciarnia, wiatr i deszcz nie pozostawiły z nich śladu. — Dobrze też — pomyślałem sobie — młodzi od razu do dorosłego życia się szykują.

Zatem jak u dorosłych zapolewałem. — Powiedzieć, ale to tak szczerze, czy to nie nazbyt administracyjne metody? Liczy się przecież własna inicjatywa.

No i zaczęło się. Sam sobie trochę piwa nawarzyłem. Przekabacili mnie.

Przyznam się, że zawieszę z podejrliwością traktowałem obo-wiązek udzielenia pomocy. Obowiązek jest tu dla

dzie ukarany. Dalibóg, stąd tylko krok do demoralizacji.

Uczniowie wszystkich typów szkół z reguły mają odgórnie narzucony przez dyrektora lub wychowawców (często w porozumieniu z Kuratorium) program czynów społecznych. Czy zastanowił się ktoś, że program taki można byłoby sporządzić z rzeczywistym, ale nie formalnym, udziałem młodzieży, albo całkiem sprawę powierzyć młodym? Nawet jeśli korzyści materialne byłyby mniejsze, w co wątpię, to korzyści wychowawcze nieporównywalnie większe.

Dlatego — pytam się — uczniowie, jak szkoła szkolą, nie chcą czytać obowiązkowych lektur, skądinąd bardzo wartościowych i pięknych książek? A no dlatego, że z góry już wiedzą, iż „Juliusz Słowacki wielkim poetą był”, a kto myśli inaczej dostanie pałę.

Mechaniczne, administracyjne przygotowanie „frontu” prac społecznych rodzi konsekwentnie biurokratyczny system egzekwowania i kontroli tychże (minuta). To z kolei prowadzi do fałszowania i nadymania statystyki, różnego rodzaju kombinatorstwa. Tak wychowany uczeń będzie później żądał od nauczyciela wpisania mu w karcie dodatkowych, aczkolwiek nie przepracowanych godzin.

Jednym z głównych celów pracy społecznej jest jej aspekt wychowawczy, wyrabianie nawyku poszanowania cudzej pracy (kto szanuje własną, szanuje i cudzą), nawyku wspólnego działania. Liczą się i efekty materialne, czy można jednak dokładnie wymierzyć kto lepiej pracował — ten kto zasadził tysiąc kwiatów, czy ten kto skopał 50 metrów grządek? A w szkole właśnie wychowanie powinno być na pierwszym miejscu. Wszelki formalizm w tych sprawach może przynieść tylko szkoda.

PROTON

ani nieba

trzeba się pogodzić. Jak będę znowu miała ziemię...

Ziemia jest dla niej najważniejsza. Wraz z ziemią ma nadzieję odzyskać szacunek u dzieci. Stanie się potrzebna. Bo teraz — powtarza ciągle — ani ziemi, ani nieba.

Z kolonii do miasteczka piechotą trzeba iść prawie godzinę. Jest co prawda przystanek na ładnie, ale miejscowi mało z niego korzystają. Kto ma czas pilnować autobusów.

W starym wiekowym miasteczku prawie wszyscy się znają. Przeto, pytając mieszkańców o kogoś, lepiej podać nazwisko niż ulicę. Bez nazwiska wskazują nowe domy opiekunów Stefani W. — tych z urzędu, jak Henryk K. i jego żona, i tych z racji więzów krwi, jak córki — Jadwiga R. i Helena K.

Często zapraszam je na obiady, samej smutno siedzieć do stołu. Mąż umarł rok temu, syn z żoną mieszka obok w starym domu, córka pobudowała się w Białymstoku. Ja matki jednak nie mogę wziąć, dopóki zapisy będą na Henryka. On ma korzystać z ziemi, on podpisał, że docho-wa babkę do śmierci, to dlatego ja mam brać matkę do siebie?

No, bo pomyśleć, staruszką wiek nie będzie żyła. Pogrzeb drogi. Pochowanie męża kosztowało mnie 11 tysięcy, pomnik 18 tysięcy. Ile innych wydatków przy tym było, trudno zliczyć. A jak choroba przykuje do łóżka na długie miesiące? W tym wieku wszystkiego można się spodziewać. Sąd niesprawiedliwie postąpił. Tysiąc złotych, co to jest? My chcemy jednego, matka również — odebrać Henrykowi akt własności. I wtedy coś uradzimy.

Czy kłóciłyśmy się? No, jak to w rodzinie bywa, czasami jakaś drobna sprzeczka. Ale nie bliźni jej nigdy. Najpierw było przecież dobrze. Przyjeżdżamy nieraz od siana, czy z pola — krowy podojone, mleko w konwach gotowe stoi, babcia dzieci pilnuje. Dlatego teraz taka niezgoda? Wzrusza ramionami.

— Wszystko przez jego rodzinę — odzywa się żona Henryka K. Ciotka Jadwiga ma straszny żal do matki, że tyle na sądy wsadziła i nie nic wyszła. I dlatego ona namówiła babkę, by zmieniła zapisy, bo my źle się opiekujemy. Babka chodzi i opowiada o swojej krzywdzie, że dom jej chcemy rozobrać. Drzewa mamy z lasu dosyć, koka kupujemy do cen-

tralnego i na coś nam ten stary dom?

Jeden dzień nie dawaliśmy? Oburza się Henryk. Najpierw dawaliśmy, później nie chciała brać. Wyrzucenia. Nie będę więcej wolał. Tak, ja wiem, że jestem opiekunem, podpisałem się na dokumentach. Tylko jak przemówić do babki, nie wiem. Powinna mieszkać z nami. Nie chce. A bez ziemi żadne z dzieci jej nie potrzebuje. W sądzie zgłosiła się iść do syna — Wincentego, który mieszka w R., mimo że z nim też miała sprawę. Stało się na tym, że ja dalej będę płacił tysiąc złotych. Wincentemu i reszcie chodzi jednak o pole. To zawzięty naród. Całe życie mogą się ciągnąć po sądach. Ze sobą nie rozmawiają. Jadwiga z moją matką już chyba przeszło dziesięć lat, z drugą siostrą też. Takie rodzeństwo.

Naprzeciw domu Henryka stoi drewniany, lecz solidny dom jego rodziców. Helena K. wyszła. W kuchni siedzi tylko siostra Henryka. Niedawno wróciła ze szpitala. Sześć tygodni przeleżała. Goście. Paszki. Chłód. Żadnego sposobu na nią nie ma.

— Widzi pani — ja też potrzebuję opieki. Z każdym rokiem gorzej. Sam się obawiam, że za kilka lat może mnie czekać podobny los. Nie wiem czy moi synowie będą mnie chcieli przyjąć do siebie. Teściowa nie zapisała swoim dzieciom ziemi i w ich oczach straciła wszelką wartość, ja już nie potrafię nic zrobić na gospodarce, dla najbliższych staję się ciężarem.

Człowiek potrzebny dopóty, dopóki daje, pracuje, a później...

ALICJA ZIELIŃSKA

Białe, czarne i całkiem szare kruki

Pani Helena Butoka pracuje w białostockim antykwariacie od 1958 r., jest więc zrozumiata, że właśnie do niej zwróciliśmy się z kilkoma pytaniami na tematy, związane z „obrotem książką używaną”, jak to się fachowo określa. Oto, co nam powiedziała kierowniczka jednej placówki antykwarycznej w naszym regionie.

— Czy Pani pamięta, co się mieściło w tym miejscu, gdzie dziś jest antykwariat?

— Oczywiście, bar „Pod końskim ogonem”, najbardziej ponura knajpa w mieście. Trzeba przynajmniej otworzyć, żeby Rynek Kościuszki był wówczas miejscem nie tyle nawet mało reprezentacyjnym, ale jak na centrum wojewódzkiego miasta wręcz kompromitującym. Niechciałbym, gdyby prasa napisała o mającym tu powstać antykwariacie, o salonie wystawowym artystów plastyków, nie potrafiłabym sobie tego wyobrazić.

— Także i później minęło sporo lat, zanim antykwariat zdobył sobie należne miejsce w sercach mieszkańców...

— To prawda. Początkowo ruch był minimalny. Ale od kilku lat panuje u nas tłok niemal od chwili otwarcia do zamknięcia.

— Czemu Pani to przypisuje?

— To rezultat braku wielu pozycji na rynku księgarskim. Kupujemy i sprzedajemy głównie książki wspólczesne. Jestem przekonana, że — może z wyjątkiem uczniów — każdy czytelnik wolałby wydać pięć, dziesięć złotych więcej i kupić książkę nową niż używaną.

— Co rozumie Pani pod pojęciem książki współczesnej?

— Wydawnictwa z ostatnich kilkunastu lat, powiedzmy wydane po roku 1960, aczkolwiek oficjalnie jako książki współczesne traktuje się pozycje wydane w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Natomiast wszystko, co wydano przed 1950 rokiem, to według mnie książki stare.

— Czy tych starych książek naprawdę tak mało trafia do antykwariatów?

— W porównaniu z literaturą najnowszą bardzo mało, ale oczywiście bywa różnie. Czasami są okresy większych dostaw.

— Z czym to się wiąże?

— Przede wszystkim z wykańczaniem nowych bloków i przeprowadzką mieszkańców tzw. starego budownictwa do nowego. Nowe mieszkania są ciasne, książki się w nich nie mieszczą, więc wędrują do antykwariatu. Są i inne powody „hurtowej” sprzedaży. Od czasu do czasu każdy bibliofil dochodzi do wniosku, że wkrótce utonie wśród własnych książek, dokonuje więc selekcji i nadwyżki dostarcza do nas. Czasem ludzie sprzedają książki otrzymane w spadku, a kiedy indziej zbierając wiedzę, że nie ma komu pozostawić biblioteki, sprzedają ją, a pieniądze przeznacza na jakiś cel, którego w młodości nie udało mu się z braku środków zrealizować.

— Czy antykwariat od czasu do czasu penetruje inne miasta w naszym regionie?

— Nie tak często, jak byliby to potrzebne, ale z drugiej strony czasami damy im. Byłam już w Siemiatyczach, Hajnówce, Szczuczynie, Giżycku, Grajewie, przeciętnie dwa razy w roku bywam w Łomży i Suwałkach. Nasze wyjazdy z reguły poprzedzane są ogłoszeniami w prasie, zawsze również wysyłamy ogłoszenie w oknie wystawowym miejscowej księgarni. A niekiedy rezultat bywa taki, że kupujemy kilka książeczek. Najlepsze zakupy miałam z reguły w Elku, Łomży i Suwałkach. Przy okazji chciałabym zwrócić uwagę na artykuł, jaki niedawno ukazał się w „Gazecie Współczesnej”. Był to artykuł agencyjny i chyba dlatego znalazło się w nim stwierdzenie, że w tym roku antykwariaty po raz pierwszy „wyjdą” na kiermasze, a jeśli eksperyment się powiedzie, to będą to czyniły także w latach przyszłych. Otóż oświadczam, że nasz antykwariat uczestniczy we wszystkich kiermaszach od bardzo wielu lat i to zarówno w Białymstoku, jak też w Łomży i Suwałkach.

— Czy w tych dwóch ostatnich miastach Pani zdaniem nie należałoby utworzyć antykwariatów?

— We własnym interesie powinniśmy udzielić odpowiedzi negatywnej, bo będzie to przecież konkurencja. Z Łomży i z Suwałk klienci przysyłają do nas książki pocztą, przywożą osobiście. Są tam także potencjalni nabywcy, o czym przekonaliśmy się podczas kiermaszów. Moim zdaniem antykwariaty należałoby założyć w tych miastach możliwie najszybciej, żeby „wywiózły” książki oddawane wciąż jeszcze na makulaturę w sytuacji, gdy nowe mieszkania okazują się za ciasne, a dostawa kilkunastu tomów do Białegostoku po prostu się nie opłaca.

— Czytelnicy zwykle są ciekawi, jakie „białe kruki” antykwariatowi udało się nabyć...

— Aktualnie mamy komplet „Chimery”, całe dziesięć roczników, obecnie rzecz niemal unikalna. Cenną pozycję stanowi pół rocznika „Gazety Warszawskiej” z 1817 r. Trafiają się starodruki, droga pozycja był „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego”. Prawdę mówiąc „białe kruki” to przecież pojęcie względne. Dla pana, jeśli dobrze pamiętam, takim „białym krukiem” była ostatnio książeczka Michela o ospie wydana w Supraślu, bo był to druk pochodzący z naszego regionu. A dajmy na to „koniarz”, wędkarz numizmatyk, amator białej broni czy myśliwy nawet nie chciałby na to spojrzeć.

— Czy z tego należałoby wnosić, że antykwariat ma już dużą grupę wyspecjalizowanych klientów?

— Tak. Wiele osób znam osobiście, powiadamiamy gdy trafi do nas coś, co je może zainteresować. Oczywiście w pierwszym rzędzie powiadamiamy placówki naukowe, bo to mój obowiązek. Najlepszym klientem antykwariatu jest Filia Uniwersytetu Warszawskiego oraz Wojewódzka Biblioteka.

— Sumując naszą rozmowę chciałbym zadać pytanie nie do przekorne. Czy wyobraża sobie Pani nasze miasto bez antykwariatów?

— Ależ nie! I to nie dlatego, że jest to moje miejsce pracy. Po prostu antykwariat stał się tak samą niezbędną placówką kulturalną, jak muzeum, teatr czy filharmonia, choć oczywiście nie do spełnienia inna, specyficzna funkcja.

Rozmawiał: R. KRAŚKO

Kornel Makuszyński napisał kiedyś, że nie ma nie bardziej zwodniczego niż tytuł. Miał na myśli książki, ale jego uwaga znajduje potwierdzenie także w innych dziedzinach. Przed tygodniem w Łomży odbyła się dwudniowa sesja, zatytułowana „Łomża w literaturze polskiej”. Gdyby organizatorzy i zaproszeni goście chcieli potraktować dosłownie zapowiadając zawartą w tytule, sesja trwałaby bardzo krótko. Na szczęście tytuł był jedynie hasłem wywołującym do rozważań znacznie szerszej natury.

Program sesji przewidywał m.in. wygłoszenie czterech referatów. Dr Roch Sulima miał mówić na temat „Folklor a literatura”. Jan Kulka wygłosił bardzo interesujący, nacechowany dużą znajomością przedmiotu i regionu referat pt. „Refleksje nad współczesną literaturą ludową”. Wojciech Wozniak poświęcił swoje wystąpienie postaci Stacha Konwy, kurpiowskiego bohatera z czasów walk ze Szwedami; wreszcie Zdzisław Dominiak wzięł na siebie zadanie najtrudniejsze, opracowując referat na temat „Łomża we współczesnej literaturze polskiej”.

Pierwszy referat nie został wygłoszony z powodu choroby referenta, jak ożajmiał organizatorzy. W kulturalnym mówioniu, że w grę wchodziła raczej choroba dyplomatyczna, gdyż referat po prostu nie został w terminie przygotowany, czego jednak nie należy traktować zbyt dosłownie, gdyż była to sesja literacka, a literatura chętnie operuje fikcją. Mówiąc poważnie, szkoda że tego referatu nie było. Stanowiłby on niejako pomost między folklorem a literaturą uprawianą profesjonalnie.

Dwa następne referaty wzbudziły umiarkowane zainteresowanie, gdyż po pierwsze — nie zaproszono na sesję twórców ludowych, co uważam za niedopatrzenie, po drugie — gdyż autor referatu o Stachu Konwie wobec braku dostatecznej ilości dzieł literackich

związanych z tą postacią, wziął na warsztat wszystko, co mu się nawinęło. Myślę, że gdyby przedmiotem opracowania był po prostu Korp jako bohater narodowy i literacki, wszyscy łącząc z autorem referatu odnieśliśmyby większy pozytek.

REGION a literatura

Czwarty referat — zapewne zgodnie z intencjami organizatorów — stanowił przysłówiowy kij w mrowisko. Na zawartych w nim, a także na pominiętych celowo lub przypadkiem treściach i tytułach, skoncentrowała się głównie uwaga dyskusyjna, czemu trudno się dziwić. Milczeli jedynie nieobecni autorzy książek o ziemi łomżyńskiej, tacy jak Bryll, Muszyńska-Hoffmanowa, Łopalewski, Sokorski i kilku innych. Dobrze im tak, mogli przejechać i tak; że pobronić swoich pozycji, atakowanych śmiało przez autora referatu pozabawionego kompleksów o raz wiedzy o niektórych faktach pozaliterackiej natury.

Lubimy mówić, że tekst broni się sam, ale jeśli jest nam dana okazja, wspiera-

my go swoją elokwencją. Tak to już jest i nie ma się czemu dziwić. Ktoż zostawi swoje dziecko bez opieki, jeśli może mu pomóc? Zenująca jest jedynie sytuacja, gdy obrońca skrytykowanej powieści staje się wręcz natarczywym, gdy twórcą broniącej swojej pozycji chwytają się wszelkich środków do zanużenia wszystkich obecnych włącznie. Tego też, niestety, nie unikniemy, a szkoda, bo ciekawa sesja byłaby bez tego incydentu jeszcze ciekawsza.

Niespodzianką dla organizatorów był, jak się zdaje,

udziałem. Ale chyba po naszym przedstawicielach władz łomżyńskich wybaczyć pisarzom, bo była to dyskusja rzeczowa, nacechowana obywatelską troską o przyszłość oblicze dynamicznie rozwijającego się miasta i regionu.

Chyba stosunkowo najmniejszy pozytek dla spotkań autorskich, ale to nie winą gospodarzy ani tym bardziej pisarzy. Problem majowych spotkań z czytelnikami od lat stanowi przedmiot krytyki, w której najaktywniej uczestniczą ci, którym powinno najbardziej zależeć na spotkaniach, a mianowicie sami twórcy. Ale właśnie to stanowi źródło krytyki. Zależy nam na bezpośrednich rozmowach z czytelnikami naszych książek, wierszy, opowiadań, reportażów, felietonów. I właśnie dlatego, że nam na tym zależy, od lat prosimy, aby spotkania odbywały się w innych terminach, najlepiej jesienią czy zimą. Chcemy być z czytelnikami wtedy, gdy mają czas, a nie wtedy, gdy mają pozycję, a nie wtedy, gdy mają pracę. W tym roku, gdy najcięższy okres nauki w szkole, gdy najcięższe w polach, w parkach i sadach.

Na zakończenie dwa słowa o samej idei sesji, poświęconej literaturze związanej z ziemią łomżyńską. Uważam pomysł za sensowny, godny kontynuowania, z tym jednak uzupełnieniem, że będą to spotkania wyrażające się w różnorodnych formach, a nie tylko w dyskusjach. W tym celu należy przede wszystkim zająć się poszukiwaniem dla siebie, a zwłaszcza dla innych, autorów powieści historycznych z autorem awangardowej poezji.

RYSZARD KRAŚKO

Bibliorama

Corocznym zwyczajem podczas majowych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy odbywa się w Białymstoku wielki kiermasz książek, połączony z różnorodnymi atrakcjami, nazywany „Bibliorama”, „Dom Książki” oraz RSW „Prasa-Książka-Ruch” przygotowują na tegoroczną „Biblioramę” bogaty zestaw książek, prasy, pocztówek, plakatów i płyt gramofonowych. Czynne będzie stoisko antykwaryczne, prowadzące kupno i sprzedaż starych książek. Można będzie też nabyć prasę zagraniczną, wiele nowości literatury dziecięcej i młodzieżowej, płyty, kasety, pamiętkowe ekslibrisy. Swoje książki podpisują będą białostoccy autorzy.

Sokrat Janowicz, Ryszard Kraśko i Aleksander Omiljanowicz.

To wszystko już w niedzielę, 20 maja, w amfiteatrze miejskim „Bibliorama” rozpoczyna się o godz. 11, a w godzinie później na estradzie amfiteatru wystąpią zespoły z białostockich szkół podstawowych, elcka grupa wokalo-instrumentalna „Pięciu chłopców” (zespół wystąpi również o godz. 18.00 w Klubie Rozrywki) oraz „Kasa Chorych”. „Biblioramie” towarzyszyć będzie wystawa ekslibrisów autorstwa białostockich artystów, którą można będzie zobaczyć w klubie „Promenada”.

(jot)

„Osibisa” u nas!

Wielbiciele najnowszej muzyki rozrywkowej czeka pod koniec maja nie byle jakie przeżycie artystyczne. Otóż na stadionie „Gwardii” w Białymstoku wystąpi światowej sławy muzyczna grupa „Osibisa”, która od kilku lat znajduje się na szczytach wszystkich list przebojów. Muzyka „Osibisy” oparta jest przede wszystkim na rytmie, a konkretniej — na metrycznych systemach afrykańskiej muzyki. Na światowe rynki muzyczne weszli w momencie, gdy wielką popularnością cieszył się tzw. latin-rock ze swoimi największymi przedstawicielami — Carlosem Santaną. Zresztą bardzo często te dwie grupy gra-

ły muzykę zbliżoną do siebie. Wykorzystanie nietypowych podziałów metrycznych, bardzo rozbudowana sekcja instrumentów perkusyjnych, interesujące aranżacje i przede wszystkim perfekcjonizm wykonawczy bardzo szybko przyniosły sędmiu muzykom wielkie rozgłos. Ich kolejne płyty długogrające stały się przebojami roku, zaś ostatnia (dwupłytowy album nagrany podczas koncertu) należy do największych osiągnięć zespołu. Można zatem chyba bez przesady stwierdzić, że w Białymstoku nigdy jeszcze nie słuchaliśmy i nie oglądaliśmy tak popularnej i znakomitej grupy.

(gr)

Żołnierskie Teatry Poezji — po raz siódmy

24 maja rozpocznie się VII Festiwal Żołnierskich Teatrów Poezji — ogólnopolska impreza, organizowana w Białymstoku co dwa lata przez Główny Zarząd Polityczny WP, Wydział Kultury i Sztuki UW oraz WDK. W bieżącym roku zjedzie na Białostoczną 11 teatrów poezji i 8 recytatorów, zakwalifikowanych do udziału w festiwalu w czasie eliminacji w Skierniewicach. W kinoteatrze „Związkowiec”, a następnie w sali Teatru Lalek „Rotunda” będą przez 3 dni

trwały pokazy konkursowe. Na zakończenie, 27 maja w Teatrze im. Węgiełki wystąpi laureaci tegorocznego festiwalu, a ponadto Centralna Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego.

Zespoły i recytatorzy odbędą szereg spotkań w placówkach kulturalnych Białegostoku i w terenie. Otwarte zostaną również dwie wystawy fotograficzne towarzyszące festiwalowi, a w Muzeum Wojska — ekspozycja tkaniny ludowej.

(jot)

Jedna z najmłodszych

Ciąg dalszy ze str. 5

placówce musi być poprzedzony kompletnym instrumentarium. Wiąże się to zarówno ze wzrostem liczby uczniów, jak i form wspólnego muzykowania.

W znaczny sposób powiększyła się również szkolna biblioteka. Ze statystyki wynika, że pięciokrotnie wzrósł komplet płyt, wśród których znajdują się obecnie zupełnie unikalne egzemplarze z różnego typu repertuarem, kilkakrotnie powiększył się zbiór materiałów nutowych. Takie komplety materiałów powinny znaleźć się w każdej szkole, ale co? — zdobyć ich to niebył łatwa sprawa.

KIM DYSPONUJĄ?

Zanim w Suwałkach powstała PSM I stopnia, istniało tu ognisko muzyczne, przez wiele lat prowadzone przez Janinę Kraśko. Tylko w oparciu o tę placówkę — co jest zjawiskiem normalnym i popularnym — mogła powstać szkoła. Dwa lata temu rozpoczęto tutaj działania, mające na celu wyrównanie wieku uczniów, rozpoczynających naukę gry na instrumentach. Chodził bowiem o to, by młody człowiek kończąc normalną szkołę podstawową kończył również muzyczną i miał szansę wstąpienia zamiast do liceum, do średniej szkoły muzycznej. W tym celu podjęto dwie decyzje; pierwszą z nich jest przesłuchanie wszystkich pierwszoklasistów w Suwałkach, drugą zaś uruchomienie przed-

bywają się zajęcia ogólnomuzyczne, później zaś przechodzi się już do pracy z instrumentami. Tak sprawnie i przemyślane organizacja, na której szczegółowe omówienie nie ma już tutaj miejsca, w najbliższym czasie powinna przynieść oczekiwane efekty.

Jednym z kolejnych przejawów ambicji większych miasteczek jest powołanie wszędzie maksymalnej ilości szkół muzycznych II stopnia. Ale zastanówmy się. Dziecko zaczyna naukę w szkole muzycznej równoległe ze szkołą dziesięcioletnią. Po sześciolletnim kursie podstawowym idzie do szkoły II stopnia i zostaje absolwentem dopiero w dwa lata po skończeniu dziesięciolatki. Zatem, by planować ewentualne studia muzyczne, musi czekać jeszcze dwa lata. Idealnym wyjściem byłoby więc utworzenie dziesięcioletniej szkoły muzycznej oraz dwuletniego studium pomaturalnego, dającego uprawnienia (i umiejętności) do wykonywania zawodu muzyka. Stąd też w Suwałkach system naboru uczniów jest przygotowany do utworzenia takiej placówki albo szkoły II stopnia, ale nie wcześniej niż za kilka lat.

W kontekście tych uwag jawi się kolejny problem, występujący w całym kraju. Mimo wzrostu liczby absolwentów średnich i wyższych szkół muzycznych nadal brakuje nam nauczycieli muzyki. Pisano już o tym wielokrotnie, ale sytu-

cja ulega nieznacznej poprawie. Najgorzej jest w miastach oddalonych od wielkich centrów kulturalnych, gdzie nauczyciele przedmiotów pozbawieni są możliwości muzykowania. W Suwałkach zatem szuka się ludzi w mieście i kieruje do szkół zamożnych, najzdolniejszych, własnych absolwentów również, ostatecznym zaś rozwiązaniem — związany z ryzykiem — jest import muzyki. Ponadto utrudniają to niebył dobre warunki bytowe, jakie szkoła może zapewnić.

NAMACALNE EFEKTY

W programie wszystkich typów szkół muzycznych figuruje naturalnie muzykowanie zespołowe. Różnice w poglądach dotyczą jedynie tego, czy zespoły szkolne powinny występować przed publicznością. W suwalskiej szkole hasłem jest: uczyć się po to, by później swoje umiejętności przekazać innym, albo również uczyć swoich następców, albo koncertować. Stąd też istnieją tu dwie orkiestry akordeonowe (młodszy i starszy), zespoły smyczkowe, małe grupy kameralne o różnym składzie i trzydziestoosobowa orkiestra szkolna, spełniająca rolę reprezentacyjną. 25 koncertów w roku minionym, już 7 w bieżącym, to liczba dosyć imponująca. Plany są znacznie większe, ale o tym innym razem.

JACEK GRÜN



Orkiestra Państwowej Szkoły Muzycznej w Suwałkach w pełnym składzie. Fot. R. Łysionek

Białostocki konkurs literacki bez białostoczian

Jak informowaliśmy swego czasu z okazji XV rocznicy powstania Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Białymstoku ogłoszono ogólnopolski konkurs literacki. W czasie dorocznej Wiosny Literackiej, która w tym roku z okazji jubileuszu KKMP miała specjalny charakter, dokonano rozstrzygnięcia wspomnianego konkursu.

Jury w składzie: Krzysztof Gasiorowski (przewodniczący), Krzysztof Boczkowski, Wiesław Kaniecki, Maria Koszycka, Waldemar Smaszcz, Ryszard Ziękowski (sekretarz) postanowiło przyznać w dziedzinie poezji: I nagrodę Zbigniewowi Atemborskiemu z Płocka, II — Stefanowi Listowskiemu z Gliwic, dwie III — Markowi Gosudarskiemu z Opoli i Krzysztofowi Ostaszewskiemu z Łodzi. Ponadto przyznano cztery wyróżnienia: Grzegorzowi Sybilowi z Poznania, Marli Helenie Zaród z Gliwic, Jerzemu Salacie z Bartosza i Zdzisławowi Antolskiemu z Kielc.

W dziedzinie reportażu zwyciężyła Elżbieta Massalska z Warszawy.

W dziedzinie prozy literackiej trzy równorzędne nagrody (bez wskazania miejsc) otrzymali: Alfred Siatecki z Zielonej Góry, Krzysztof Białasik z Warszawy i Janusz Wacowski z Bydgoszczy.

W Jarmarku Poetyckim, który tym razem był połączony z turniejem jednego wiersza, także prym wiodli goście. Wyjątek stanowił Wiesław Szymański z Białegostoku.

Komentarz zbędny. Z. KRAŚKO



Przed wyjazdem do Afryki Premiera w Teatrze Lalek

Starsze pokolenia mieszkańców Białegostoku i okolic z pewnością znają tę sztukę, ale najmłodszym chętnie zawrzą z nią znajomość. Mamy na myśli bajkę Marii Kownackiej o przydługim nieco tytule: „O straszliwym smoku i dzielnym szewczyku, prześlicznym królewiczu i królu Gwóźdźniku”. Sztukę reżyserował Krzysztof Rau, scenografię opracował Wiesław Jurkowski, zaś muzykę — Leszek Zuchowski.

Teatr Lalek zaprasza na przedstawienia, które odbędą

się: w dniu 19 bm. o godz. 10 i 12, zaś w dniu 20 bm. — o godz. 11 i 16.30 w sali Domu Rzemiosł przy ul. Warszawskiej.

Przy okazji miło nam poinformować, że białostocki Teatr Lalek właśnie z tą sztuką wybiera się w czerwcu na występy gościnne do Libii i Algierii. Życzymy, aby arabskie dzieci przyjęły naszych aktorów równie serdecznie, jak polskie oraz z licznych krajów europejskich, gdzie nasz teatr już bawił.

(er)

Recenzja

W ramach współpracy białostockiej „Estrady” z „Pagartem” dwukrotnie wystąpiła w Białymstoku grupa z Niemieckiej Republiki Demokratycznej z piosenkarzami: Dagmar Frederic, Peterem Wielandem i amerykańskim wokalistą Jamesem

szereg znanych przebojów, starych i nowych, nieco wracające ponoc do mody rock i rolla i kilka własnych utworów, popularnych w NRD. Dagmar Frederic, znana z ostatniego festiwalu Interwizji w Sopocie, właściwie jako jedyna obroniła się na scenie. Dysponuje niezbyt mocnym, ale przyjemnie brzmiącym, dobrze ustawionym głosem, jej sposób interpretacji przypo-

mieniem był występ Petera Wielanda, który ani nie ma głosu, ani nie potrafi dobrze interpretować, bierze się natomiast za tak piekielnie trudne kompozycje, jak „Maria” Bernsteina z musicalu „West Side Story”. Pomijając solowe występy Dagmar Frederic, bardzo sympatycznie zabrzmieli jej duety z Pulliym — wzorowane m.in. na piosenkach wykonywanych przez Charlesa z Barbrą Streisand — zaś wspólne śpiewy w tercje należały chyba do najgorzej punktów programu. Natomiast zupełnie fatalnie towarzyszył solistom zespół akompaniujący, który mając do dyspozycji cztery instrumenty dęte, fortepian, syntezator i sekcję, zupełnie nie wiedział z kim, po co i dlaczego gra.

Wniosek wynika z tego jeden: „Pagart” powinien bliżej przyjrzeć się temu, co wprowadza z zagranicy, zaś białostocka „Estrada” — co kupuje od „Pagartu”.

J. GRÜN

Show w kilku językach

W Pulliym, Solistom towarzyszył oktet „Manfred Ludwig”. I w tym momencie potwierdziła się prawda, że łatwiej „Pagartowi” sprowadzić z zagranicy niż lokalnej „Estradzie” przyciąć coś takiego u siebie. „Pagart” bowiem ma możliwość sprawdzić (płyty, nagrania, ocena fachowców itd.) propozycję, która to możliwość nie jest dana dyrekcjom placówek wojewódzkich. Kupuje się zatem — w zasadzie — kota w worku, a konsekwencje są łatwe do przewidzenia.

Wspomniana trójka piosenkarzy reprezentowała nam

mina wprowadzić momentami do zdumienia Barbrę Streisand, ale zawsze to lepiej mieć dobre wzory niż żadnych. Gorzej zaprezentował się czarnoskóry Amerykanin z Kalifornii — James W. Pulli, który — bez żadnego uzasadnienia głosowego — śpiewał rock and rolla, utworzył rytm i bluesowe i standardy z repertuaru m.in. Louisa Armstronga. Niskie, ciepłe brzmienie głosu zupełnie nie koresponduje z repertuarem i lepiej byłoby, gdyby Pulli zabierał się do bluesu i ballady czarnych śpiewaków ludowych.

Pełnym zaś nieporozu-



NA ZDJĘCIU: para wyko nawców z Niemieckiej Republiki Demokratycznej — Dagmar Frederic i Peter Wieland.

RELAKS

Miała szczęście...

38-letnia mieszkanka Innsbrucka, będąc w stanie silnej depresji psychicznej, postanowiła popełnić samobójstwo i rzuciła się z największego mostu Europy, tak zwanego „Europabrücke” koło Innsbrucka.

Kobieta miała niebawem szczęście. Spadając z wysokości 100 m, wylądowała prosto na strzelistym świecie, obcięła swym ciałem wszystkie gałęzie z jednej strony drzewa i choć doznała wielu obrażeń, żadne nie było śmiertelne. Gałęzie drzewa zamortyzowały jej upadek na skały. (M.M.)

Atomowy szantaż

To, czego już od dawna obawiano się w USA, stało się faktem. W Stanach Zjednoczonych doszło po raz pierwszy do atomowego szantażu.

W mieście Wilmington jeden z urzędników tamtejszych zakładów atomowych ukradł 75 kg uranu i usiłował za jego zwrot wymusić 100 tys. dolarów. Szantażysta został na szczęście szybko ujęty. (M.M.)

Niezwykły wandalizm

W RFN działał ostatnio groźny przestępca. Zwyradniał wandal obywateli w muzeach żrącym kwasem najcenniejsze dzieła sztuki.

W Kassel zniszczył trzy obrazy Rembrandta o szacunkowej wartości 50 mln dolarów. Przestępce ujęto i skazano na 5 lat więzienia. (M.M.)

Rodzinna pasja

U nas każdy coś zbiera. Ila muszle, Robert znaczki, ja różne starożytności — ze smiechem raczya Andrzej Zawistowski. To oczywiście tylko żart, ale prawda też w tym jest.

Pokój przypomina Desę, tyle że ciśnie tutaj. W pierwszej chwili nie wiadomo na czym zatrzymać wzrok. Na jednej ścianie 5 zegarów — czarny, dębowy, bardzo dokładnie chodzący, chociaż setka mu już stuknęła, francuski z jasnego dębu, inne misternie rzeźbione — dobra, fachowa robota. Na drugiej ścianie klucze, w starej ramie po ob-

razie. Około dwustu, a każdy inny, od XVIII-wiecznego grubego z miedzi, aż po małe kluczyki do walizki, skarbnicy.

No i wreszcie ściana najbogatsza. Zastawiona regalem, którego półki kryją prawdziwe skarby. Czyżby tu nie znalazł się? Przy oknie, od dołu poczynając, chyba ze 20 żelazek. Zbierane po całym województwie — obajśnią pan Andrzej — niektóre wałają się na śmietniku, zarzewiały, nikomu niepotrzebne, to wyszukane gdzieś na strychu u gospodarzy. Z duszą i na węgle, i zupełnie małe, żelazne, wstawiane całe do rozgrzanego pieca. Numer cztery z boku

i data — 1829 r. Stara podstawa pod żelazko z mosiądzu, wyryszona, błyszcząca, a Cyganin w Łodzi sprzedali ją zupełnie tanio. Zniszczona była bardzo.

Ręczna waga i tasak, który wiele już przeżył. Długie gwoździe, przypominające grube, ręcznie kute, w miejscach, gdzie były w drzewie nawet śladu ręki, choć właściciel daje im co najmniej 200 lat. Czajnik od staruszek z Rajgród, też siedzi w latach. Siewierka z kości mamuta — trzy takie pogiębarka wyrzuciła z Kanalu w Augustowie, rogi, które zostały po ojcu, zapalonym myśliwym.



Długo można by tak opisywać. Skąd się wzięła ta pasja gromadzenia rzeczy starych, unikalnych dzisiaj?

Tradycja rodzinna — mówi pan Andrzej. Ojciec zajmował się numizmatyką, brat zbierał trofea myśliwskie, kufle od piwa, lampy, porcelanę. Myślę jednak, że takie hobby może uprawiać niejedyn. Wystarczy rozrzeć się dookoła, mieć parę rzeczy. Weźmy takie kamyczki, których mam tu pełno. Przywiozłem je z różnych budów, z pracy. Wielu przechodzi obok, nie zauważyło nawet. Jakże wspaniale zachowały się na nich ślady kwiatów, gałązek, odcisków szkieletu, jakichś drobnych żyłtek. Na innych widać główki roślin.

Pochodzą z Białostocznego, z Miłnika, z Siemiatycz, z budowy Fabryki Dywanów. Nikt do tej pory nie interesował się nimi, a przecież dużo u nas występuje też kamień ozdobny — np. z rudą miedzi w środku, albo znowu ametyst — ukryty w kredzie, piryty. Niektóre kamyczki liczą miliony lat.

I pan Andrzej wyciąga podręczniki, atlasy geologiczne — gdzie znajduje odpowiednik swoich eksponatów. Iza z kolei pokazuje w książkach muszle, które takimi samymi kolorami mienią się zza szyby półki. Pierwszą dużą muszlę otrzymała na urodziny od mamy, która pomaga jej w dalszym kolekcjonowaniu. Zaczęła czytać, wyszukiwać w czasopiśmie wszelkie informacje o morskiej faunie i dzisiaj mało kto może się z nią równać wiedzą na temat koralowców, perel. A już na pewno z trudem udało się znaleźć drugi równie bogaty zbiór morskich skarbów.

No i wypada jeszcze kilka słów o Robertcie, kolekcjonerze znaczków pocztowych. Grube, wypielone po brzegi klasy. Kwiaty, motyle, ptaki, zwierzęta — najróżniejsze serie, które Robert gromadzi od pięciu lat.

Rodzina państwa Zawistowskich ma tylko jedno marzenie — większe mieszkanie.

A. ZIELIŃSKA

Fot. Krzysztof Świdorski



Błędy i usterki na znaczkach pocztowych martwią pocztowców i drukarzy. Inaczej rzecz się ma z filatelistami. Im sprawiają największą przyjemność. Ktoś bowiem nie marzy o tym, aby mieć w swoim albumie rzadkie okazje różnych błędodruków? Wiadomo, że przeważnie należą one do rarytasów filatelistycznych.

Kiedy powstaje najwięcej błędów i usterek na znaczkach pocztowych? Historia poczty dowodzi, że w tzw. okresach przejściowych. U nas głównie po I i II wojnach światowych. Znaczki pocztowe drukuje się wtedy szybko, na prymitywnych maszynach drukarskich i nie najlepszym papierze. Po nadaniu znaczki powstają również z tworzeniem sieci pocztowej.

Nic dziwnego, że w katalogu

listy znaczków z Wydawnictwa Komisji Likwidacyjnej z 1919 roku:

- * haczyki w literze „h”;
 - * orzeł z fajką;
 - * zgrubienie na szyi orła;
 - * na szyi orla wyrostek;
 - * prawy szpon zgrubiony.
- Usterki na znaczkach z serii „Duży Orzeł” z lat 1921-1923:
- * plamka na dziobie i języku orla;
 - * skaza poniżej ogona.
- Na znaczkach z serii „Duży Orzeł” z 1924 roku filateliści wykryli:
- * lewe kolano orla połączone z piórem;
 - * lewe skrzydło uszkodzone;
 - * białą plamę na lewej łapie.

W wydaniu znaczków przesłanych lotniczo z 1925 roku zauważono m.in. „orla z urwanym ogonem” i uszkodzone upierzenie prawego skrzydła. A oto niektóre usterki znaczków z serii „Wodźowie” z 1944 roku.

- * jasna plama na surducie;
- * kropka na czole nad prawą brwią;
- * duże nikielne kreski na lewej wardze;

Orzeł z fajką

gach filatelistycznych można spotkać wydania pierwszych polskich znaczków, które wierzają po kilkadziesiąt usterkę. W większości ujawniły filateliści w toku żmudnych niecierpliwości i badań. Ale tu od razu należy wyjaśnić, że wiele usterek powstało w wyniku zmyślności filatelistów i drukarzy. Można więc też mówić o świadomym „fabrykowaniu” błędów usterek.

Opisy znaczków z usterkami mogą być wprowadzić w zdumienie. Są często dziwne i zrozumiałe dla wtajemniczonych. Oto niektóre charakterystyki filate-

* duża kropka na prawym od prawego oka.

Na znaczkach z serii „Warszawa oskarża” z 1945 roku m.in. ujawniono „ciemną plamkę nad gmachem ambasady amerykańskiej” i „białą plamkę nad Kolumną Zygmunta”. I tak można dalej mnożyć różne „kreski”, „kropki”, „plamki”, „skazy” na wielu polskich znaczkach. Tych najstarszych i tych najnowszych.

Bo człowiek to istota omylna. Ku wielkiemu zadowoleniu filatelistów.

KOLEKCJONER



NA ZDJĘCIU: Poczta Angielska wydała serię 4 znaczków, przedstawiających psy rasowe. Fot. A. Zdrodowski

Z TEKI SZPERACZA

Arcydzieła ciesielskiego kunsztu

Nawet w czasach gdy żelbet był symbolem postępu, a drewno — zaojania, z przekorą echującą niemal wszystkim „szczawikow” popularizowaniem pogląd, iż budownictwo drewniane jest najbardziej polskie, a więc i mądrzejsze — podskazywało. Do takiego wniosku doszedł czytając niekiedy dochodzące do naszych czasów inwentarze z XVI i XVII w. Potwierdziły to późniejsze badania archeologiczne, co jednak dało mi jedynie połowicę satysfakcji. Bo i coż mi z tego, że racja jest po mojej stronie, skoro nie tylko w miastach, lecz i na wsi panowały się beton — w mniejszym lub większym stopniu odmiannach, skoro nawet domki campingowe (widz jeden z osiedli na Borkach w Augustowie) buduje się z silikatowej cegły.

Zanim sztuka ciesielskiej posuła się tak daleko, że większość ludzi nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, aby z drewna można było zbudować coś więcej niż „daczę”. Informacja, iż z drewna zbudowany był (tę-

nie z umocnieniami obronnymi) zamek Radziwiłłów w Goniądzu, że drewniane było dworzyskie myśliwskie króla Zygmunta Augusta w Krynicy, że zamek w Tykocinie (poza paroma wiekami) — był przypuszczalnie także z drewna — budzi niedowierzanie lub nawet ironiczne uśmiechy.

Nie odtworzymy już przepięknych rezydencji, jakie się niedługo urosły na każdym podłaskim pagórku noszącym szumne miano „Góry Zamkowej” lub „Góry Królowej Bony”. Rozpadły się bezpozwornie, pozostały po nich jedynie legendy, w których dominuje motyw dawno odzyskującego się zaskoma w każde niedzielne popołudnie w głąb góry, co ma stanowić dowód, iż za sprawą tajemnych mocy zamek zapadł się w głąb góry. Po wiekowatych monumentach drewnianych budowli nie pozostały nawet rysunki. Jeśli istniały — pochłonęły je liczne wojny, jakie się przebiegały przez nasze ziemie.

Kolejna wojna zabrała także niemal już ostatnie — nie licząc niewielu kościelnych, cerkwi i dwóch meczetów — arcydzieła ciesielskiego kunsztu, wśród nich drewniane bożnice. Najpiękniejsze na obszarze II Rzeczypospolitej wznosiły się w Suchowoli i Zabłudowie. Ale właśnie dlatego, że się tak bardzo wyróżniały, że ich czysto polskie w swoim charakterze sylwestry architektoniczne — podobnie jak meczetów w Bohonkach i Kruszyńskich — budziły powszechny zachwyt, podobizny tych budowli przetrwały przynajmniej na licznych fotografiach.

Prezentuję je dziś w nadziei, że ich widok pobudzi do myślenia tych zwłascza, których zawstydza wspomnienie ojcowskiej chaty, wobec czego skłonni są nawet w sercu pisać „fundować” betonowe bunkry mające pełnić funkcję turystycznych schronisk i domów uczuciowych.

R. KRASKO

Reprod. K. ŚWIDORSKI



— A mówiłam ci, żebyś nie jadła w tej stołówce.

Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

I bezklasowe społeczeństwo nie obejdzie się bez ludzi wysokiej klasy.

Ambicjonalne sprawy współczesności: wstąpię do podłogi byle jakiego i odjechać donikąd.

Niektórych dyplomantów Erosa zdegrustowane partnerki odsyłać z miejsca do oślej ławki.

W barwach Bachusa niezawodny — opowiadał do perfekcji stałe fragmenty pieśń.

Najbardziej solidnym kontrahentem plekta jest niebo. Dostarcza wszak tylu upadłych aniołów.

Szukając domniemanych sąsiadów w galaktykach, nie potrafimy pomieścić ze swymi najbliższymi z obszaru Ziemi.

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 5) powieść Tadeusza Brezy, 9) owad albo kukielka, 10) dobrze Ci nie życzę, 11) tkanina, której szkoda, 12) miasto obwodowe w Rosyjskiej FSRR, 14) pod kora, 15) symbol natchnienia poetyckiego, 17) nudziarz, 18) mantyka, 19) tworzywo krzemorganiczne, 20) durszlak, 21) nowe srebro lub kuzynka lamy, 23) laska na ulicy, 25) za kratkami, 26) wytwór, 28) agresja, 32) brak inteligencji, 33) pokój dyrektorski, 35) stożkowate nakrycie głowy, 38) mózg armii, 39) zapasnicza arena, 40) łowi, 41) piękny koń rasowy, 42) czar, wdziec, 43) ślepa uliczka, 44) rodzaj gwóźdź.

PIONOWO: 1) wdowa młoda, 2) jar, parów, 3) kawałek czegoś jadalnego, 4) cseć

telewizora, 6) prawy dopływ dolnej Wisły, 7) wyrobiecie towarzyskie, 8) znosi ze spokojem przeciwności losu, 9) popularny aktor polski, 11) tkanina przyjemna w dotyku, 13) bije damę, 16) między kolanem a stopą, 18) więcej niż tydzień, mniej niż miesiąc, 22) stroma ścieżka górską, 23) galgan, 24) zapal pisarski, 25) odmiana śrubokrętu, 26) wieje ku równikowi, 27) zna się na wszystkim, 29) cios bokserki powalający przeciwnika co najmniej na 10 sekund, 30) jej kwiat jest baśniowym symbolem szczęścia, 31) zawarcie związku małżeńskiego, 32) teza do rozwinięcia, 33) poziomo biegnący profilowany występ ściany, 34) w zodiaku, 36) roślina z rodziny dyniowatych, 37) początek dnia.

LESZEK

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy dopisać: „Krzyżówka z nr 111”.

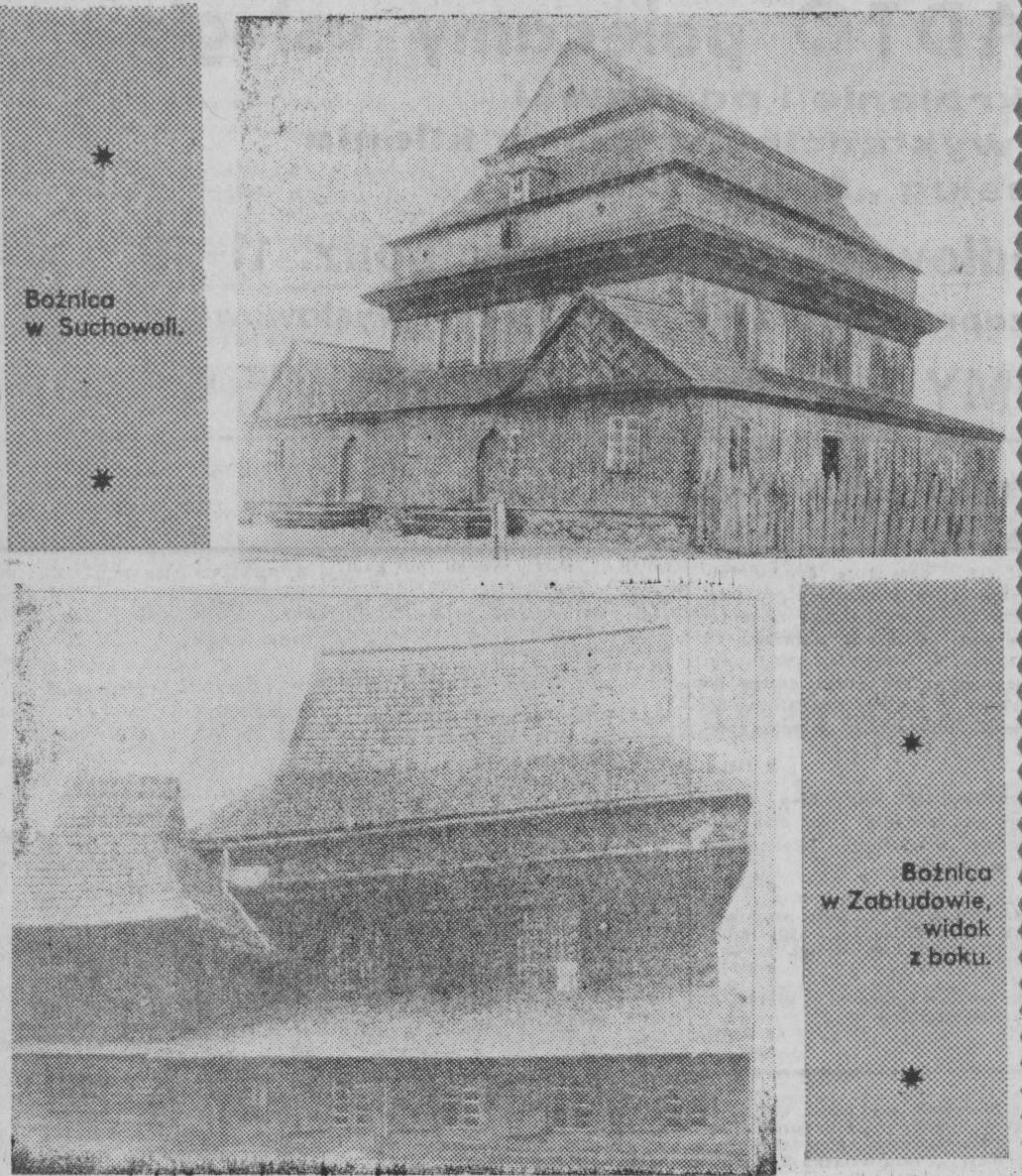
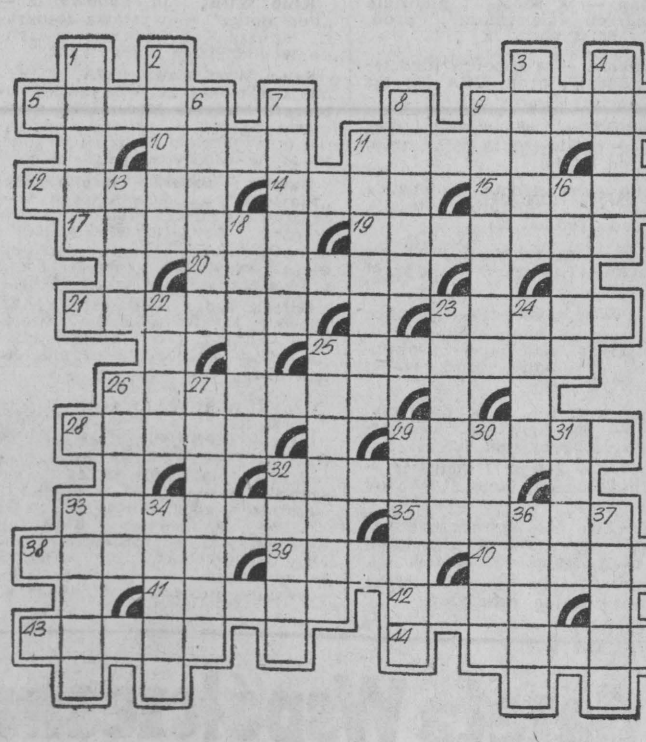
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 105

POZIOMO: „Zacheta” Fonberg, efekt, rower, Rajska, prym, Supraśl, baon, kolasa, „Plener”, Iza, Apollonia, sensacja, Tykocin, garment, agawa, lekarz, gulgot, witka, notatka, tkaczka, akademia, Ogódczyk, rów, wesele, Asumpt, czyn, łowela, rap, lkon, nauka, lotki, malarka, fabryka. PIONOWO: ameryk, huta, turk, osrodi, barc, rajtar, dwór, espianto, „Kontrasty”, mors, szalami, pałac, apasz, leźnia, bela, orkiestra, Choroszcz, chart, nazwa, „Fasty”, gagat, rolka, Sniadecki, Łaskowski, kumpel, kroskus, Narew, kowal, lena, Cypr, Wygoda, lotnik, sadła, tartak, etul, fara, klar.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki zamieszczanej w „Gazecie” nr 106 z 5 maja br., nagrody książkowe wylosowali: Jerzy Franczak z Elku, Barbara Gogolewska z Łap, Wiesław Milanowski z Augustowa, Helena Zajko z Białogostu i Krystyna Mackiewicz z Łomży.

Nagrody prześlemy pocztą.



Bożnica w Zabłudowie, widok z boku.